CZYTELNIK

BOROWSKI

KAMIENNY SWIAT

TADEUSZ BOROWSKI

KAMIENNY ŚWIAT

OPOWIADANIE
W DWUDZIESTU
OBRAZACH

1948
· CZYTELNIK ·
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

Printed in Poland

Nr · 314

Październik · 1948

Drukarnia Narodowa w Krakowie
M- 34329

KRÓTKA PRZEDMOWA

Janowi Dobraczyńskiemu

„Kamienny świat“ jest jednym obszernym opowiadaniem, złożonym z dwudziestu samodzielnych części. Autor próbował możliwości, jakie daje forma „krótkiego opowiadania“, i uznał próbę za niezbyt udałą. Forma krótkiego opowiadania podobna jest do formy ciasnego kołnierzyka, gdyż tamuje oddech. Oducza ona komentarza i omówienia, przyzwyczaja do jedności akcji, czasu i miejsca, zamiast pisarza — kształci aparat fotograficzny.

Niektóre z tych krótkich opowiadań są tylko realistyczne, niektóre są błahe, inne zawierają polemikę z cudzymi postawami pisarskimi. Adresy polemiki wskazują dedykacje, ale nie wszystkie. Niektóre są tylko grzecznościowe. Nie jestem pozytywnym katastrofistą, nie znałem kapy Kwaśniaka, nie jadłem mózgów ludzkich, nie mordowałem dzieci, nie siedziałem w bunkrze, nie chadzałem z Niemcami do opery, nie piłem wina w ogrodzie, nie oddaję się infantylnym marzeniom — w ogóle byłoby mi bardzo przykro, gdyby opowiadania z „Kamiennego świata“ zostały potraktowane jako kartki z intymnego pamiętnika autora tylko dlatego, że są pisane w pierwszej osobie.

Nie wiem, czy przedmowa ta usprawiedliwia dostatecznie moje krótkie opowiadania. Napisałem ją głównie dlatego, aby się mnie nie czepiali różni radykalni katolicy — oraz inni.

KAMIENNY ŚWIAT

Dla Towarzysza Pawła Hertza

Od pewnego czasu, jak płód w łonie kobiety, dojrzewa we mnie i trwożnym oczekiwaniem napełnia mnie świadomość, że Niezmierzony Wszechświat wydyma się z niewyobrażalną szybkością, niczym kosmiczna bańka mydlana; nurtują mnie kłujące niepokoje skąpca, kiedy choćby przez chwilę pomyślę, że wszechświat wycieka w pustkę jak woda przez palce i że kiedyś — może jeszcze dziś, może dopiero jutro, może za parę lat świetlnych — wsiąknie w nią bezpowrotnie, jakby był zbudowany nie z solidnej materii, lecz tylko z przelotnego dźwięku. Od razu muszę wyznać, że chociaż bardzo rzadko zmuszam się po wojnie do oczyszczenia butów i prawie nigdy nie wyskrobuję błota z mankietów spodni, że chociaż wiele wysiłku kosz-

tuje mnie co drugi dzień ogolenie moich policzków, brody i podgardla, że choć dla oszczędności czasu ogryzam paznokcie zębami i nie poszukuję rzadkich książek ani kochanek wiążąc przez tę rezygnację sens mego losu z losem wszechświata, to jednak dopiero od niedawna z lubością wychodzę z domu w skwarne popołudnia na długie, samotne przechadzki po robotniczych dzielnicach swego miasta.

Bardzo lubię wciągać w płuca szerokimi haustami zatęchły, suchy jak tarta bułka pył ruin i z ledwie zamaskowaną ironią, skłaniając z przyzwyczajenia głowę nieco na prawe ramię, przyglądam się wiejskim babom przykucniętym przy towarze pod ścianami zburzonych kamienic, brudnym dzieciom goniącym między kałużami po nocy za szmacianką oblepioną błotem, a także zakurzonym, śmierdzącym potem robotnikom, którzy na bezludnej ulicy przekuwają z pośpiechem od świtu do nocy szyny tramwajowe — widzę bowiem wyraźnie, jakby w lustrze, jak te porastające trawką ruiny,

baby wiejskie, ich zaprawiona mąką śmietana i zacuchłe kiecki, szyny tramwajowe, szmacianka i goniące za nią dzieci, położone przy torfowisku sztangi i młoty żelazne oraz muskularne ręce, zmęczone oczy i ciała robotników, ulica i placyk za nią, pełen drewnianych straganów, nad którymi unosi się gniewny gwar ludzki i chmury pędzone szybkim wiatrem — jak wszystko to rozwiewa się nagle i spada skłębione gdzieś w dół, pod moje stopy — niczym odbicia drzew i nieba w potoku, który wartko przelewa się pod kładką.

Wydaje mi się czasami, że również odczucia, powiedziałbym, biologiczne tężeją we mnie i krzepną, nieczułe jak żywica. W przeciwieństwie do lat ubiegłych, kiedy przyglądałem się światu oczyma rozszerzonymi ze zdziwienia i stąpałem przez byle ulicę uważnie jak młody kot po parapecie, obecnie obojętnie zagłębiam się w ruchliwy tłum i zupełnie bez emocji ocieram się o rozparzone ciała dziewcząt, wabiących golizną kolan i przemyślnym spiętrzeniem tłu-

stych włosów. Przymrużam oczy i znowu z przyjemnością widzę przez powieki, jak podmuch kosmicznego wichru podbija tłum aż pod kopuły drzew, bełta ludzkie ciała w olbrzymi wir, skręca rozwarte w przerażeniu usta, miesza różowe policzki dzieci z owłosionymi piersiami mężczyzn, w strzępy sukienek owija zaciskające się pięści, niby pianę wyrzuca na wierzch białe uda, spod których wychylają się kapelusze i odłamki głów oplecione wodorostami włosów — i jak ta przedziwna mieszanina, gigantyczna zupa ugotowana z tłumu, płynie wzdłuż ulicy nad rynsztokiem i nieomal z bulgotem wsiąka w nicość jak w kanał odpływowy.

Nic dziwnego przeto, że pełen lekceważenia, podbitego leciutką pogardą, wchodzę z godnością człowieczą do masywnych, chłodnych gmachów z granitu. Nie zwykłem się zachwycać schodami z marmuru oczyszczonego ze spalenizny i przykrytego czerwonym chodnikiem, który — stękając z wysiłku — trzepią co rano po-

sługaczki, nie zwracam uwagi na nowe futryny okienne ani na odmalowane ściany wypalonego domu. Obojętnie wkraczam do ciasnych, lecz przytulnych pokoików osób ważnych i czasami nieco za uprzejmie proszę o rzeczy zbyt błahe, które wprawdzie mi się należą, ale które — wiem to, ostatecznie — nie zdołają sprawić, aby świat ten nie wezbrał jak przejrzały owoc granatu i nie pękł wysypując zamiast ziaren na szklistą pustynię suchy, szeleszczący popiół.

Kiedy po upalnym dniu kurzu i zapachu benzyny zapada wreszcie orzeźwiający zmrok i przemienia gruźlicze ruiny w niewinne dekoracje ciemniejące na tle coraz gęstszego nieba, wracam pod świeżo zasadzonymi latarniami do pachnącego surowym wapnem mieszkania, które kupiłem od pośrednika za wysoką sumę, nie rejestrowaną w żadnym urzędzie skarbowym, zasiadam przy parapecie, opieram głowę o dłonie i, kołysany brzękiem talerzy, które żona zmywa w niszy kuchennej, przyglądam się

oknom domu naprzeciwko, gdzie jedno po drugim gasną światła i milkną głośniki radiowe.

Jeszcze chwilę łowię uchem niewyraźne odgłosy uliczne: pijacką piosenkę z pobliskiej budki z papierosami, szurgot kroków, dudnienie pociągów podchodzących do stacji, natarczywy i uparty dźwięk młotów nocnej zmiany, przekuwającej z pośpiechem szyny tramwajowe już na zakręcie ulicy — i coraz wyraźniej czuję, że wzbiera we mnie ogromne rozczarowanie. Odpycham się energicznie od okna, jakbym rozrywał krępujący mnie sznur, przysiadam się do biurka z uczuciem, że znowu straciłem bezpowrotnie czas, wyciągam z głębi szuflady porzucone od dawna papiery i, ponieważ świat dzisiaj się jeszcze nie rozwiał, wyjmuję czyste kartki, rozkładam je pedantycznie na biurku i, przymknąwszy oczy, staram się odnaleźć w sobie tkliwą przyjaźń dla robotników znad szyn tramwajowych, dla wiejskich bab z fałszywą śmietaną, pociągów z towarem, ciemniejącego nieba nad ruina-

mi, dla przechodniów z alei i dla nowych futryn, a nawet dla żony wycierającej talerze — i z wielkim wysiłkiem intelektualnym pragnę uchwycić prawdziwy sens widzianych rzeczy, zdarzeń i ludzi. Zamierzam bowiem napisać wielkie, wieczyste dzieło epickie, godne tego nie przemijającego, trudnego, jakby ciosanego w kamieniu świata.

O P O W I A D A N I E
Z PRAWDZIWEGO ŻYCIA

Redaktorowi Stefanowi Żółkiewskiemu

Myślałem wtedy, że umrę. Leżałem na gołym sienniku, okryty kocem, który cuchnął zaschłym kałem i ropą moich poprzedników. Byłem tak osłabiony, że przestałem się drapać, aby odpędzić pchły. Na biodrach, pośladkach i ramionach potworzyły mi się rozległe odleżyny. Obciągnięta na kościach skóra była czerwona i paliła jak świeża oparzelizna. Czułem wstręt do swego ciała i nasłuchiwałem z ulgą rzężenia innych ludzi. Chwilami myślałem, że uduszę się z pragnienia. Otwierałem wtedy popękane wargi i, marząc o pewnym kubku zimnej kawy, wpatrywałem się bezmyślnie we fragment pustego nieba leżącego za otwartym na oścież oknem. Zanosiło się na niepogodę, ponieważ popielaty, trupi dym snuł

się nisko nad dachami. Na dachach topiła się smoła i błyszczała w słońcu jak rtęć.

Kiedy mięso pośladków i pleców poczynało wzbierać we mnie żywym ogniem, obracałem się bokiem na chropowatym sienniku i, podłożywszy pięść pod ucho, podnosiłem wyczekująco wzrok w stronę opuchniętego człowieka na sąsiednim łóżku, kapy nazwiskiem Kwaśniak. Obok niego na stołku stał kubek z kawą, leżało nadgryzione jabłko i poniewierał się kawałek kruszącego się chleba. W nogach łóżka, ukryte w tekturowej paczce pod prześcieradłem, dojrzewały zielone pomidory, przysłane mu przez troskliwą żonę.

Kapo Kwaśniak źle znosił bezruch. Tęsknił nostalgicznie za swoim komandem, które pracowało na babskim lagrze. Nudził się. Na *Krankenbau* odebrano mu jedyną rozrywkę: jedzenie do syta, gdyż był chory na nerki. Jego sąsiad był Żydem, skrzypkiem z Holandii, i samotnie umierał na zapalenie płuc. Toteż słysząc chrzęst mego siennika, kapo Kwaśniak nieodmiennie pod-

nosił się na łokciu i badawczo mrużył obrzękłe oczy.

— Wyspał się pan nareszcie — mówił ze złością, ledwie kryjąc wzbierającą w nim niecierpliwość. — Niechże pan dalej co opowiada. Człowiek prawie zdrowy, a musi leżeć jak muzułman. Dawno wybiórki nie było.

Nie zadowalały go streszczenia wulgarnych książek, historie z filmów awanturniczych, dramaty z wielkiego repertuaru. Nie cierpiał niesamowitych opowieści osnutych na tle utworów romantycznych. Z pasją natomiast zagłębiał się w bzdurne i sentymentalne wątki, jeżeli tylko zdołałem go przekonać, że pochodzą z mojego prawdziwego życia. I w istocie, wywlokłem już na wierzch wszystko, co kiedykolwiek przeżyłem ciekawego: ciotkę, dla której kochanek-gajowy grał wieczorami na gitarze pod oknem; żywego koguta z lekcji fizyki, co, zamknięty przez nas w szafie na złość profesorowi, nie chciał piać; dziewczynę z zajadami w kącikach ust, kojarzącą mi się

dzięki pewnym przeżyciom z polskim wrześniem, etc. Opowiedziałem mu także wyczerpująco o swoich miłościach, żałując gorzko, że było ich tylko dwie. Byłem uczciwy i mówiłem w najprostszych słowach prawdę, nic tylko prawdę. Ale czas mijał bardzo powoli, a ja miałem coraz większą gorączkę i coraz silniejsze pragnienie.

— Kiedy siedziałem w więzieniu, przyszedł do nas do piwnicy chłopiec. Powiedział, że przyprowadził go policjant. Podobno za to, że chłopiec pisał kredą na murze — zacząłem zwolna, przeciągnąłem językiem po wargach i opowiedziałem w interesującym skrócie historię chłopca z Biblią, historię, którą zresztą powtórzyłem w parę lat później w pewnej krótkiej noweli.

Chłopiec miał przy sobie Pismo święte, które czytał przez cały dzień. Nie odzywał się do nikogo, a na pytania towarzyszy odpowiadał krótko i opryskliwie. Po południu wrócił do naszej celi pewien młody

Żyd z badania. Popatrzył na chłopca i powiedział, że go widział na gestapo. „Przyznaj się — dodał — że jesteś Żydem tak jak i ja. Nie bój się, tu sami swoi“. Chłopiec z Biblią powiedział, że go przyprowadził policjant i że nie jest Żydem. Wieczorem wyprowadzono go wraz z innymi i rozstrzelano na podwórku.

— Chłopiec ten, proszę pana — kończyłem pośpiesznie jeszcze jedną prawdziwą opowieść — nazywał się Zbigniew Namokel i, jak mówił, był synem dyrektora banku.

Kapo Kwaśniak podniósł się w milczeniu i zaczął grzebać w nogach łóżka. Wydobył z paczki pomidora i trzymał go niezdecydowanie w dłoniach.

— To nie było zdarzenie z pańskiego życia — powiedział surowo, patrząc mi z ukosa w oczy. — Leżę tu trochę dłużej niż pan i — chce pan wiedzieć? On tu był w szpitalu, ten pański Zbigniew Namokel. Chorował na tyfus tak jak pan. Umarł na tym samym łóżku, na którym pan teraz leży.

Oparł się wygodnie plecami o poduszkę i przerzucał pomidora z ręki do ręki.

— Może pan wypić moją kawę, mnie i tak nie wolno — rzekł po namyśle. — Ale niech mi pan już nic nie opowiada.

Rzucił mi pomidora na koc, podsunął kubek z kawą i, przechyliwszy głowę, patrzył z wielkim zainteresowaniem, jak przyssałem się wargami do płynu.

ŚMIERĆ SCHILLINGERA

Starszy sierżant SS Schillinger pełnił w roku 1943 obowiązki lagerfirera, czyli bezpośredniego komendanta męskiego odcinka roboczego „D“ na obozie w Birkenau, który należał do ogromnego zespołu większych i mniejszych lagrów, rozsianych po całym Górnym Śląsku i podlegających administracyjnie centralnemu obozowi koncentracyjnemu w Oświęcimiu. Schillinger był człowiekiem dosyć niskim i krępym. Miał pełną, nalaną twarz i jasne jak len włosy, gładko przyczesane do czaszki. Oczy jego były niebieskie, zawsze nieco zmrużone, wargi miał zaciśnięte i policzki z lekka podniesione w niecierpliwym skurczu. O wygląd zewnętrzny nie dbał i nigdy nie słyszałem, aby dał się przekupić przez „prominentów“.

Schillinger władał lagrem „D“ czujnie i niepodzielnie. Jeździł bez wytchnienia rowerem po drogach obozowych, wyłaniając się niespodziewanie zawsze tam, gdzie był najmniej potrzebny. Tłukł ręką ciężko jak kijem, z łatwością kruszył szczęki i wybijał z człowieka krew.

W czujności był niezmordowany. Często wizytował inne odcinki obozu w Birkenau, wzbudzając paniczny strach wśród kobiet, Cyganów i „prominentów“ z „Effektenkammer“ tj. najmajętniejszego odcinka Birkenau, gdzie składano bogactwa zagazowanych ludzi. Dozorował także komanda, pracując wewnątrz wielkiej postenketty, rewidując znienacka ubrania więźniów, buty kapów i torby esmanów. Odwiedzał również krematoria i lubił się przyglądać, jak wpychano ludzi do komory gazowej. Nazwisko jego wymawiano razem z nazwiskami Palitscha, Krankenmanna i wielu innych morderców oświęcimskich, którzy przechwalali się, że własnoręcznie, pięścią, kijem lub bro-

nią, zdołali zabić po kilkanaście tysięcy ludzi.

W sierpniu 1943 roku rozeszła się na obozie wieść, że Schillinger zginął wśród niewyjaśnionych okoliczności. Podawano różne, rzekomo autentyczne relacje o wypadku, które były całkowicie sprzeczne. Osobiście skłonny byłbym wierzyć znajomemu forarbajterowi z sonderkommanda, który pewnego popołudnia, siedząc wraz ze mną na buksie, na której oczekiwał partii skondensowanego mleka z magazynu z obozu cygańskiego, opowiadał mi o śmierci starszego sierżanta Schillingera, co następuje:

— W niedzielę po apelu południowym Schillinger przyjechał na dziedziniec krematorium w odwiedziny do naszego szefa. Ale szef nie miał czasu, bo właśnie przywieziono z rampy pierwsze samochody z transportu będzińskiego. Wiesz sam, bracie, że wyładować transport i kazać mu się rozebrać, a potem zagnać go do komory — to ciężka praca, która wymaga wielkiego, po-

wiedziałbym, taktu. Każdy wie dobrze, że zanim ludzie nie zostaną zaryglowani w komorze, nie wolno gapić się na ich klamoty, nie wolno w nich grzebać, a tym bardziej nie wolno podmacywać nagich kobiet. Już to samo, rozumiesz, bracie, że każe się kobietom obnażać wespół z mężczyznami, jest dla ludzi z cugangu porządnym wstrząsem. Stosuje się wtedy system wielkiego pośpiechu, sztucznie udaje się nawał pracy w rzekomej łaźni. Zresztą naprawdę trzeba się pospieszyć, aby zdążyć zagazować jeden transport i oczyścić z trupów komorę, zanim nadejdzie drugi.

Forarbajter podniósł się, usiadł na poduszce, spuścił nogi z buksy i, zapaliwszy papierosa, ciągnął:

— Więc mieliśmy, uważasz, bracie, transport z Będzina i Sosnowca, Żydzi ci wiedzieli dobrze, co ich czeka. Chłopcy z sonderkommanda też się denerwowali; niektórzy pochodzą z tych stron. Były wypadki, że przyjeżdżali krewni albo znajomi. Mnie samemu się zdarzyło...

— Nie wiedziałem, że jesteś z tych okolic. Po mowie nie poznać.

— Kończyłem studia pedagogiczne w Warszawie. Chyba z piętnaście lat temu. Potem wykładałem w gimnazjum będzińskim. Proponowali mi wyjazd za granicę, nie chciałem. Rodzina, uważasz, bracie. No i tak.

— No i tak.

— Transport był niespokojny, wiesz, to nie kupcy z Holandii czy z Francji, co to myśleli o założeniu interesu w obozie dla internowanych *Auschwitzu.* Nasi Żydzi dobrze wiedzieli. Toteż SS-manów była cała kupa, a Schillinger zobaczywszy, co się dzieje, wyciągnął rewolwer. Wszystko poszłoby jak należy, ale Schillingerowi spodobało się jedno ciało, rzeczywiście — klasycznie zbudowane. Pewno po to przyjechał do szefa. Podszedł więc do kobiety i wziął ją za rękę. Wtedy naga kobieta nagle schyliła się, zaczerpnęła w dłoń piasku i sypnęła mu w oczy, a kiedy Schillinger, krzyknąwszy z bólu, puścił z ręki rewolwer, kobieta pochwyciła broń i strzeliła Schillingerowi kil-

ka razy w brzuch. Na placu powstała panika. Nadzy ludzie ruszyli na nas z krzykiem. Kobieta wypaliła jeszcze raz do szefa i raniła go w twarz. Wtedy i szef, i SS-mani rzucili się do ucieczki, zostawiając nas samych. Ale, chwała Bogu, daliśmy sobie radę. Zagnaliśmy kijami transport do komory, zaśrubowaliśmy drzwi i zawołaliśmy SS-manów, aby wrzucili „cyklon". Nabyliśmy przecież trochę wprawy.

— No, *ja*, wiadomo.

— Schillinger leżał na brzuchu i drapał palcami ziemię z bólu. Podnieśliśmy go i, nie bardzo uważając, przetransportowaliśmy do samochodu. Przez całą drogę jęczał przez zaciśnięte zęby: *O, Gott, mein Gott, was hab' ich getan, dass ich so leiden muss?*

Po polsku znaczy to: „O, Boże, mój Boże, cóż ja uczyniłem, że tak muszę cierpieć?"

— Że ten człowiek nie zrozumiał do końca — powiedziałem kiwając głową. — Cóż za dziwna ironia losu.

— Cóż za dziwna ironia losu — powtórzył w zadumie forarbajter.

W istocie, cóż za dziwna ironia losu: kiedy na krótko przed ewakuacją obozu Żydzi z sonderkommanda w obawie przed rozwałką wzniecili bunt w krematoriach, podpalili budynki krematoryjne i przeciąwszy druty rzucili się do ucieczki w pole, kilku SS-manów ogniem z karabinów maszynowych wystrzelało ich wszystkich co do jednego.

CZŁOWIEK Z PACZKĄ

Adolfowi Rudnickiemu

Nasz szrajber był Żydem z Lublina i przyjechał do obozu oświęcimskiego już jako doświadczony lagrowiec z Majdanka, a że znalazł bliskiego znajomego z sonderkommando, które z racji swych bogactw czerpanych z krematoriów rozporządzało na lagrze ogromnymi wpływami, od razu zaczął udawać chorego, poszedł bez żadnych trudności na *KB zwei* — tak w skrócie (od słowa: *Krankenbau II)* zwał się osobny odcinek Birkenau, przeznaczony na szpital — i natychmiast dostał tam świetną funkcję szrajbera na naszym bloku. Zamiast przez cały dzień przewracać łopatą ziemię albo nosić na głodno worki z cementem, szrajber pełnił pracę kancelaryjną — przedmiot zazdrości i intryg innych „prominentów", dekujących również swoich znajomych na

funkcjach — przyprowadzał i odprowadzał chorych, robił apele na bloku, przygotowywał karty chorobowe i pośrednio uczestniczył przy selekcjach Żydów, które jesienią czterdziestego trzeciego odbywały się prawie regularnie co dwa tygodnie na wszystkich odcinkach naszego obozu; szrajber bowiem obowiązany był przy pomocy flegerów odprowadzić chorych do waszraumu, skąd wieczorem wywoziły ich auta do jednego z czterech krematoriów, wtedy pracujących jeszcze na zmianę. Wreszcie gdzieś w listopadzie szrajber dostał wysokiej gorączki, o ile sobie przypominam — z przeziębienia, i ponieważ był jedynym chorym Żydem na bloku, przy pierwszej selekcji został wyznaczony *zur besonderen Behandlung*, czyli do gazu.

Zaraz po wybiórce starszy fleger, zwany przez grzeczność blokowym, udał się na blok czternasty, gdzie leżeli prawie wyłącznie Żydzi, aby utargować, że odstawimy do nich naszego szrajbera wcześniej i w ten sposób pozbędziemy się nieprzyjemnego kłopotu

odprowadzania go osobno do waszraumu.

— Ferlegujemy go *auf vierzehn, Doktor, verstehen?* — rzekł wróciwszy z czternastki do naczelnego lekarza, który siedział przy stole ze słuchawkami w uszach. Opukiwał bardzo starannie plecy świeżo przybyłego pacjenta i wypisywał mu kaligraficznym pismem kartę chorobową. Doktor machnął ręką, nie przerywając pracy.

Szrajber siedział w kucki na górnym łóżku i pieczołowicie obwiązywał sznurkiem tekturowe pudełko, w którym trzymał buciki czeskie, sznurowane aż po kolana, łyżkę, nóż, ołówek oraz tłuszcze, bułki i owoce, które dostawał od chorych za rozmaite szrajberskie usługi, podobnie jak to czynili prawie wszyscy żydowscy lekarze i flegerzy na KB; w przeciwieństwie przecież do Polaków nie dostawali oni od nikogo żadnych paczek. Zresztą Polacy, którzy dostawali na KB pomoc z domu, także brali od chorych zarówno tytoń jak i jedzenie.

Naprzeciwko szrajbera stary major pol-

ski, nie wiadomo dlaczego trzymany na bloku od kilku miesięcy, grał sam ze sobą w szachy, zatkawszy kciukami uszy, pod nim nachtwacha odlewał się leniwie do szklanej kaczki i zaraz zakopał się w kołdrę. Na dalszych sztubach pocharkiwano i kaszlano, w piecyku ostro skwierczała słonina, było duszno i parno, jak zwykle przed wieczorem.

Szrajber zeszedł z łóżka i wziął paczkę do ręki. Blokowy podał mu szorstko koc i kazał nałożyć na nogi trepy. Wyszli z bloku, widać było przez okno, jak przed czternastką blokowy zdejmuje koc z ramion szrajbera, zabiera mu trepy i klepie go po plecach, szrajber zaś, odziany już tylko w nocną koszulę, którą podwiewał wiatr, wchodzi w towarzystwie innego flegera do bloku czternastego.

Dopiero przed wieczorem, kiedy rozdano na sztubach porcje, herbatę i paczki, flegerzy poczęli wyprowadzać muzułmanów z bloków i ustawiać po pięciu przed drzwiami, zdzierając z nich koce i pantofle. Na

lagrze pojawił się dyżurny SS-man i kazał flegerom utworzyć przed waszraumem łańcuch, aby nikt nie uciekł; tymczasem na blokach spożywano kolację i gmerano w świeżych paczkach.

Widać było przez okno, jak nasz szrajber wyszedł z czternastki z paczką w ręku, ustawił się w piątce na swoim miejscu i poganiany krzykiem flegerów powlókł się z innymi do umywalni.

— *Schauen Sie mal, Doktor!* — zawołałem do lekarza. Zdjął słuchawki, podszedł ociężałym krokiem do okna i położył mi dłoń na ramieniu. — Mógłby okazać trochę więcej rozsądku, nie myśli pan?

Na dworze już ciemniało, widać było białe koszule poruszające się przed blokiem, twarze ludzi były niewyraźne, przeszli w bok, zniknęli z pola widzenia; zauważyłem, że nad drutami zapaliły się lampy.

— Przecież wie doskonale, stary lagrowiec, że za godzinę czy dwie pójdzie do gazu nagi, bez koszuli i bez paczki. Co za niesamowite przywiązanie do resztki własno-

ści. Mógłby przecie oddać innemu. Nie wierzę, żebym ja...

— Myślisz tak naprawdę? — zapytał obojętnie doktor. Zdjął rękę z moich pleców i ruszał szczęką, jakby wysysał językiem dziurawy ząb.

— Proszę wybaczyć, *Doktor*, ale nie sądzę, żeby pan... — rzekłem mimochodem.

Doktor pochodził z Berlina, miał córkę i żonę w Argentynie i mówił niekiedy o sobie: *wir Preussen* — z uśmiechem, w którym bolesna gorycz Żyda mieszała się z dumą byłego pruskiego oficera.

— Ja nie wiem. Nie wiem, co bym zrobił, gdybym szedł do gazu. Pewnie także wziąłbym ze sobą swoją paczkę.

Obrócił się do mnie i żartobliwie się uśmiechnął. Zobaczyłem, że był bardzo zmęczony i niewyspany.

— Myślę, że nawet gdybym jechał do komina, to z pewnością wierzyłbym, że po drodze coś się stanie. Trzymałbym paczkę jak cudzą rękę, wiesz?

Odszedł od okna i usiadłszy przy stole

kazał ściągnąć z łóżka innego chorego; przygotowywał na jutro „abgang" uzdrowieńców na lager.

Chorzy Żydzi napełniali waszraum wrzaskiem i jękiem, chcieli podpalić budynek, ale żaden z nich nie śmiał tknąć sanitarnego SS-mana, który siedział w kącie z przymkniętymi oczyma i albo udawał, że drzemie, albo drzemał naprawdę. Wczesną nocą zajechały na lager potężne ciężarówki krematoryjne, nadeszło kilku SS-manów, kazano Żydom zostawić wszystko w waszraumie i flegerzy poczęli wrzucać ich nagich na auta, aż na ciężarówkach urosły potężne zwały ludzi, którzy płacząc i złorzecząc, oświetleni reflektorami, odjeżdżali z lagru, rozpaczliwie trzymając się jeden drugiego rękoma, aby nie zlecieć na ziemię.

Nie wiem, dlaczego mówiono później na lagrze, że odjeżdżający do gazu Żydzi śpiewali po hebrajsku jakąś wstrząsającą pieśń, której nikt nie mógł zrozumieć.

K O L A C J A

Czekaliśmy wszyscy cierpliwie, aż nastanie zupełny mrok. Słońce zapadło już głęboko za wzgórza, na świeżo zoranych stokach i dolinach, pokrytych miejscami brudnym śniegiem, kładły się coraz gęstsze cienie, pełne mlecznej wieczornej mgły, ale na obwisłym podbrzuszu nieba, nabrzmiałym deszczowymi chmurami, snuły się jeszcze gdzieniegdzie różowe pasma zachodu. Nasycony wonią rozmokłej, skisłej ziemi, porywisty i jakby ciemniejący wiatr gnał przed siebie skłębione obłoki i jak lodowate ostrze przenikał aż do żywego ciała; samotny kawałek papy, naderwany silniejszym podmuchem, klekotał monotonnie na dachu. Z łąk ciągnął rześki, ale przejmujący chłód, w dolinie koła wagonów szczękały o szyny i lokomotywy pohukiwały ję-

kliwie. Zapadał wilgotny zmierzch, głód dokuczał coraz dotkliwiej, na szosie ruch powoli zamierał. Coraz rzadziej wiatr przynosił stamtąd strzępy rozmów, pokrzykiwania woźniców, urywany turkot wózków, zaprzężonych w krowy szurające leniwie racicami po żużlach ścieżki; oddalał się klekot drewnianych chodaków po asfalcie i cichły gardłowe śmiechy wiejskich dziewcząt, ciągnących wesoło do miasteczka na sobotnią zabawę.

Wreszcie mrok zgęstniał aż nadto dostatecznie i zaczął kropić rzadki deszcz. Fioletowe lampy, chwiejące się na wysokich słupach, rzucały przyćmione światło na czarne, splątane gałęzie przydrożnych drzew, na błyszczące daszki budek strażniczych, na opustoszałą drogę lśniącą jak mokry rzemień; żołnierze przemaszerowali pod ich blaskiem, zniknęli w ciemności, słychać było coraz bliższy chrzęst żwiru pod nogami.

Wtedy szofer komendanta puścił spłaszczony, zasłonięty okapem strumień reflek-

torów na przejście między blokami i dwudziestu ubranych w pasiaki Rosjan, z rękami związanymi na plecach drutem kolczastym, wyprowadzili blokowi z umywalni i spędzili ich po wale; ustawiono ich na kamieniach ulicy obozowej bokiem do tłumu, który z odkrytymi głowami stał nieruchomo od wielu godzin, cierpiąc w milczeniu głód. Oblane ostrym blaskiem ciała Rosjan stapiały się jakby w jedną bryłę mięsa, okrytą drelichem i pokrytą cieniem; każda zmarszczka, wypukłość i fałda ich ubrania, pękające podeszwy znoszonych butów; ściosy na flekach; przyschnięte grudki rudej gliny na obrzeżkach spodni; grube szwy w rozkroczu; białe nitki przewijające się w sinych pasach drelichów; obwisłe płaty pośladków; naprężone dłonie o zbielałych palcach, skurczonych z bólu, z kroplami zakrzepłej krwi w zgięciach stawów; napięte ścięgna na przegubach, na których skóra siniała od wpijającego się w nią zardzewiałego drutu; nagie łokcie, ściągnięte nienaturalnie ku sobie drugim

drutem — wyrzynały się z ciemności wyraźnie, jakby zamarznięte; plecy i głowy Rosjan rozmazywały się w mroku, tylko nieco bielsze, bo wygolone karki jaśniały znad kołnierzy kurtek. Wydłużone cienie tych ludzi leżały na drodze, na drutach kolczastych, migocących kropelkami rosy, i gubiły się za drutami na stoku wzgórza porosłego rzadkim, zeschniętym, szeleszczącym sucho szuwarem.

Komendant obozów, szpakowaty, ogorzały oficer, który specjalnie na ten wieczór przybył z miasta do lagru, zmęczonym, ale energicznym krokiem przeszedł przez smugę światła i, stanąwszy z boku, stwierdził, że oba szeregi Rosjan znajdują się w należytej odległości od siebie. Teraz sprawa potoczyła się szybko, jednakże nie tak szybko, jakby tego życzyło sobie zziębnięte ciało i zgłodniały żołądek, czekający od siedemnastu godzin na pół litra na pewno jeszcze ciepławej zupy, stojącej w kotłach w baraku. — Nie myślijcie, że to nic! — krzyknął młodziutki lagereltester, który wysunął

się spoza komendanta. Jedną dłoń miał założoną za klapę prominenckiej kurtki szytej z czarnego sukna, specjalnie do figury, w drugiej trzymał szpicrutę wierzbową, którą chlastał rytmicznie po cholewach butów.

— Ci ludzie, oni są przestępcy. Nie muszę wam powiedzieć, co i jak. Komuniści, no nie? Pan komendant kazał mi przetłumaczyć, że zostaną oni przykładnie ukarani, a jak pan komendant mówi... No, chłopcy, ja wam radzę, uważajcie, nie?

— *Los, los,* jesteśmy w pośpiechu — rzekł półgłosem komendant do oficera w rozpiętym płaszczu. Stał oparty biodrem o błotnik małej Skody i ściągał leniwie rękawiczkę z dłoni.

— To nie śmie trwać długo — odpowiedział porucznik w rozpiętym płaszczu. Strzepnął niedbale palcami i uśmiechnął się kącikiem ust.

— *Ja,* a cały obóz będzie znowu pozbawiony dzisiaj obiadu — krzyknął młodziutki lagereltester. — Blokowi odniosą zupę

do kuchni i niech mi brakuje choć litr, to ja wam już pobrakuję, no nie, chłopy?

Po tłumie przeleciało głębokie westchnienie. Powolutku, powolutku tylne szeregi poczęły podsuwać się ku przodowi, przy drodze zrobiło się ciasno i błogie ciepło rozlało się od pleców, ogrzanych przez stłoczonych, gotujących się do skoku ludzi.

Komendant skinął dłonią i zza jego samochodziku wyszli gęsiego SS-mani z karabinami w ręku i z widoczną wprawą ustawili się za Rosjanami, każdy za swoim. Nie znać już było po nich, że wrócili z komanda wraz z nami, zdążyli już najeść się i przebrać w odświętne, świeżo prasowane mundury, a nawet zrobić sobie *manicure;* zaciskali palce na kolbach i krew różowiła równiutko obcięte paznokcie; widocznie wybierali się do miasteczka na zabawę z dziewczętami. Zarepetowali z trzaskiem broń, oparli kolby o biodro i przytknęli lufy do wygolonych karków Rosjan.

— *Achtung, bereit, Feuer!* — powiedział komendant nie podnosząc głosu. Szczęknę-

ły karabinki, żołnierze odskoczyli krok w tył, aby nie obryzgały ich roztrzaskiwane głowy. Rosjanie zachybotali się na nogach i jak ciężkie wory z mlaskiem runęli na kamienie oblepiając je krwią i kawałami rozprysłych mózgów. Zarzuciwszy karabinki na plecy żołnierze odeszli pośpiesznie na wartownię, trupy zostały prowizorycznie odciągnięte pod druty, komendant wsiadł w towarzystwie świty do Skody, która prychając kłębami dymu podsunęła się tyłem do bramy.

Ledwie szpakowaty, ogorzały komendant zdążył szczęśliwie odjechać, milczący tłum, który napierał coraz natarczywiej na drogę, wybuchnął ponurym jazgotem, runął lawiną na okrwawione kamienie, przekotłował się po nich z wrzaskiem i rozpędzony pałkami blokowych i sztubowych, zwołanych z całego lagru, rozsypał się chyłkiem po blokach. Stałem nieco z boku od miejsca egzekucji i nie mogłem dodrapać się na czas, ale gdy nazajutrz wygnano nas znów do roboty, zmuzułmaniały Żyd z Estonii,

który nosił wraz ze mną rury, przez cały dzień zapewniał mnie żarliwie, jakoby mózg ludzki naprawdę był tak delikatny, że można go jeść bez gotowania, zupełnie na surowo.

M I L C Z E N I E

Dopadli go w bloku kapów niemieckich w chwili, gdy już przesadzał nogę przez parapet okna. Bez słowa ściągnęli go na podłogę i, dysząc z nienawiści, wywlekli na boczną drogę obozową. Tam, ciasno otoczeni milczącym tłumem, poczęli go tłamsić dziesiątkami zachłannych rąk.

Wtem od bramy obozu podano z ust do ust ostrzegawcze okrzyki. Po głównej drodze obozowej biegli pochyleni do przodu żołnierze z bronią, omijając stające im na drodze grupki ludzi w pasiakach. Tłum pierzchnął sprzed domku kapów niemieckich i skrył się na swoich blokach — zatłoczonych, śmierdzących i gwarnych. Na dymiących piecach gotowano tam wszelakiego rodzaju jadło, zagrabione w nocy u okolicznych baurów, na pryczach i między nimi

mielono zboże w młynkach, czyszczono na blatach mięso z żył, obierano kartofle, zrzucając obierki wprost na ziemię, grano w karty o sterty kradzionych cygar, mieszano ciasto na placki, pożerano łapczywie parujące kasze i bito beznamiętnie pchły. Duszące, jakby przepocone zapachy kotłowały się w powietrzu, zmieszane z wonią jadła, dymem i parą wodną, która skraplała się na belkach dachu i opadała na ludzi, sprzęty i jadło monotonnie jak rzadki deszcz. Przy drzwiach zakłębiło się, do bloku wszedł młodziutki oficer amerykański w tekturowym hełmie na głowie i rozejrzał się przyjaźnie po pryczach i stołach. Miał na sobie ślicznie zaprasowany mundur. Rewolwer w otwartej pochwie zawieszony był na długich rzemieniach i obijał się młodemu żołnierzowi po udach. Oficerowi towarzyszyli tłumacz z żółtą opaską „interpretera" na rękawie cywilnego garnituru oraz prezes Komitetu Więźniów, który ubrany był w białą letnią marynarkę, spodnie do fraka i tenisowe pantofle. Ludzie na bloku umilkli i patrzyli

uważnie w oczy oficera, wychylając się z prycz i podnosząc głowy znad saganów, misek i menażek.

— *Gentlemen* — powiedział oficer zdejmując hełm z głowy, a tłumacz natychmiast tłumaczył zdanie po zdaniu — wiem dobrze, że po tym, co przeżyliście i widzieliście, nienawidzicie głęboko waszych oprawców. My, żołnierze z Ameryki, i wy, ludzie z Europy, biliśmy się po to, aby prawo zapanowało nad bezprawiem. Musimy szanować prawo. Powinniście wiedzieć, że wszyscy winni będą ukarani, tak w tym obozie jak i we wszystkich innych. Już teraz macie przykład, że schwytani SS-mani użyci zostali do grzebania trupów.

— Rzeczywiście, można by było na plac za szpitalem. Jeszcze wszystkich nie wywieźli — szepnął jeden na dolnej pryczy.

— Albo do którego ze schronów — odrzekł szeptem drugi. Siedział okrakiem na pryczy, wpijając dłonie w koc.

— Trzymajcie pysk! Czasu nie macie? Słuchajcie, co mówi pan oficer — odezwał

się półgłosem trzeci, który leżał w poprzek na tej samej pryczy. Nie widzieli oficera, bo go zasłaniał szczelnie zbity tłum, który się skupił po tej stronie bloku.

— Koledzy, pan komendant daje słowo honoru, że wszyscy przestępcy obozowi, zarówno SS-mani jak heftlindzy, będą sprawiedliwie ukarani — rzekł tłumacz. Ze wszystkich prycz odezwały się oklaski i okrzyki. Gestami i śmiechem starano się wyrazić młodemu mężczyźnie zza oceanu swoją sympatię.

— Dlatego pan komendant prosi was — mówił dalej tłumacz schrypniętym nieco głosem — żebyście byli cierpliwi i nie popełniali bezprawia, bo to się będzie mścić na was, tylko przekazywali draniów w ręce warty obozowej, dobrze?

Blok odpowiedział jednym przeciągłym okrzykiem. Komendant podziękował tłumaczowi i życzył więźniom dobrego wypoczynku i rychłego odnalezienia najbliższych. Żegnany przyjaznym gwarem, opuścił blok i udał się do następnego.

Dopiero wtedy, gdy obszedł tak wszystkie bloki i w towarzystwie żołnierzy wrócił do budynku komendantury, ściągnęliśmy tamtego z pryczy, na której, obłożony kocami i przyduszony przez nasze ciała, leżał zakneblowany, z twarzą wbitą w siennik, wywlekliśmy go na betonową podłogę pod piec i wśród ciężkich, nienawistnych posapywań całego bloku zadeptaliśmy go tam na dobre.

SPOTKANIE Z DZIECKIEM

Odnalazłszy wypatrzone za dnia wyżłobienie w wale za barakami, przeleźli obaj ostrożnie pod kolczastym drutem, chroniąc rękawem oczy i szorując plecami po żwirze. Stoczyli się z wału i, przewróciwszy się na brzuch, wpełzli opierając się na łokciach w wysoką trawę, prześwietloną czerwonym blaskiem zachodzącego słońca. Pod narożną wyżką siedział w budce, oblepionej żółtymi plakatami *Off Limits*, żołnierz amerykański — tekturowy hełm i automatyczny karabinek leżały obok niego na ławce. Z desek wyżyczki odrywały się olbrzymie krople i uderzały głucho w popiół wygasłego ogniska z nocy.

Kiedy osądzili, że są w bezpiecznej odległości od drutu, usiedli na kępie i obrali starannie pasiaki z grudek lepkiej gliny oraz

zeskrobali nożami brązowe plamy na kolanach i łokciach. Wreszcie dźwignęli się na nogi i posuwistym krokiem poczęli brnąć przez podmokłą łąkę w stronę szosy, omijając opuszczone bunkry, rozbite stanowiska artylerii i okrążając wielkim łukiem obóz, z którego terenu podnosiły się niebieskie dymy wieczornych ognisk, dobiegał trzask łamanych desek i gwar tysięcy ludzi.

— Wiatr idzie na nas, trupami czuć — powiedział wyższy, z węzełkiem w ręku, gdy obeszli pole przed szpitalem, pełne trupów leżących między sągami drzewa. Miał obrzękłą, ospowatą twarz i był albinosem. Rzadkie włosy sterczały na jego czaszce sztywne jak sierść. Przez środek głowy ciągnął się pas ostrzyżonej skóry. Przykrótkie rękawy obozowej marynarki ukazywały żylaste, piegowate, owłosione ręce. Pociągnął nosem:— Nie zdążyli spalić.

— Rzecz wiadoma — rzekł niższy. Głos miał zachrypły, co chwila spluwał przez wybite zęby. Obrośnięty był czarną szczeciną, wystrzyżoną przez środek głowy. Na

srebrnym pluszu trawy, mokrej od niedawnego deszczu, ciągnęły się ciemne, kręte ścieżki. Dodał rzeczowo: — Patrzaj, już szli przed nami. Dobiorą się do wagonów.

— Spokojna twoja głowa, starczy i dla ciebie — powiedział wyższy. Schodzili w dół szosy, pod wydłużonym cieniem kasztanów, w kierunku osiedla willowego położonego za torem kolejowym, na którym stały rzędy wagonów bez lokomotyw.

Dolina otoczona była czarnym lasem świerkowym, za który zapadało miedziane słońce. U skraju lasu, na dnie doliny, wśród zakwitłych ogrodów, w ciemniejącej zieleni, bujnej, rozrosłej, świecącej kulkami i igiełkami srebrnego deszczu — rozpościerały się jak na dłoni i świeciły różowym tynkiem jednorodzinne wille z okrągłymi kolumienkami. Niebo stało nad doliną przejrzyste, powiewne, jakby z jedwabiu, zwolna zaciskające się chłodem. Tylko po zalesionym zboczu gór sunęły rzadkie, siwe mgły i rozwiewały się wśród świerków.

— Masz twoje wagony, najedz się —

rzekł niższy. Minęli pole młodziutkich ziemniaków i wyszli na tor kolejowy. Wagony były otwarte, pełne zsiniałych ciał, poukładanych porządnie nogami do drzwi. Na wierzchu leżała warstwa dzieci, obrzękłych i białych jak wykrochmalone poduszki.

— Nie zdążyli spalić — rzekł wyższy. Przeskoczyli przez druty sygnalizacyjne i przeraczkowali pod wagonem.

— Rzecz wiadoma — rzekł niższy. Spojrzeli po sobie i uśmiechnęli się zaciskając wargi. Znów przeskoczyli przez druty sygnalizacyjne,ześliznęli się z nasypu i, klucząc między ogrodami, zeszli na samo dno doliny, do oficerskich will.

Kolonia, zbudowana rękami więźniów dla wyższych oficerów obozu i ich rodzin, była pusta i gdyby nie ślicznie utrzymane ogródki, zasunięte bielutkimi firaneczkami okna i dym pnący się z kominów w niebo — mogłoby się zdawać, że jest ona wymarła.

Przeszli przez główną aleję i skręcili na boczną ścieżkę pod lasem. Przez wyrwę w górach świeciło jeszcze słońce, na skraju

cienia obok samotnej willi spoczywała na leżaku kobieta w kwiecistym szlafroku. Nad karkiem włosy jej związane były w ciężki, klasyczny węzeł. Obok niej kędzierzawa dziewczynka w niebieskiej sukieneczce bawiła się lakierowanym wózkiem, w którym leżała lalka.

Zatrzymali się na ścieżce i spojrzeli po sobie przymrużonymi oczyma. Uśmiechnęli się jeden do drugiego, nie rozszerzając warg. Przenieśli wzrok na główkę dziecka, objęli ją wzrokiem miękko i dokładnie, jak dłońmi. Potem odnaleźli oczyma ostry róg willi, przedzielonej trawnikiem od ścieżki, i znów spojrzeli na dziecko. Wyższy uczynił krok naprzód i wtedy cień jego głowy padł na nogi kobiety i podsunął się ku jej piersiom.

Kobieta podniosła wypukłe oczy i rozchyliła usta. Górna jej warga podkurczyła się jak u królika. Złapawszy jej spojrzenie dwaj chłopcy uśmiechnęli się szerzej i, kołysząc się obozową modą w biodrach, ruszyli bez pośpiechu w stronę dziecka.

K O N I E C   W O J N Y

Przy ocienionej platanami autostradzie wznosił się betonowy, nagi masyw koszarowej budowli. Wielki upał rozżarzał i wysuszał na popiół powietrze. Z otworów poddasza kłębami unosił się dym, śmierdziało wywarem z baraniny. Na trawnikach pod oknami chrupały odłamki szkła; walały się strzępy książek; dzwoniły hełmy potrącane nogami; pękały z hukiem, jak purchawki, torby z białym, gryzącym proszkiem, który rozwiewał się w powietrzu; zbutwiałe wiązki czarnych krawatów żołnierskich wylatywały z okien wraz ze stołami, pryczami i szafami i uderzały w ziemię głucho, jak w brzuch. Ciężarowe traki amerykańskie wjeżdżały z rykiem w bramę pilnowaną przez obojętnych żołnierzy, eleganckich jak z igły, i wyrzucały na beton podwórza tłumy mężczyzn

w poszarpanych ubraniach, kobiet w kraciastych chustkach na głowie, dzieci, tłumoki i toboły, zwożone z okolicznych obozów, fabryk i gospodarstw. Tłum rozkładał się leniwie na placu, rozniecał wielkie ogniska do ugotowania obiadu i z tępą nienawiścią gospodarował we wnętrzu koszar, metodycznie wybijając szyby, tłukąc lustra, żyrandole i fajanse, niszcząc urządzenia szpitala, kina i magazynów, wywalając na podwórze książki z biblioteki i stosy legitymacji partyjnych znalezionych w archiwum, demolując pokój po pokoju, izbę po izbie, korytarz po korytarzu, ustęp po ustępie, piętro po piętrze — pomieszczenia swoich dozorców; ciężarówki zaś wyjąc i charcząc wypadały na autostradę i przejechawszy obok prowizorycznego obozu dla SS-manów, którzy pod czujną, ale przyzwoitą strażą posługiwali cały dzień przy gruzach w mieście, wyrywały pełnym gazem na punkty zborne po nowy towar. Roześmiani Murzyni przyjaźnie kiwali zza kierownicy do przechodzących dziewcząt

niemieckich. Dziewczęta uśmiechały się powściągliwie i długo patrzyły za kolumną aut.

Tuż przy koszarach, oddzielone od obozu esmańskiego autostradą, leżało podmiejskie osiedle robotnicze. Wśród bujnej zieleni błyszczały małe domki o kredowych ścianach oplecionych młodym bluszczem, o różowych dachach nakrytych niebem z kobaltu, rozrosłe kasztany kładły na nie soczyste plamy cienia. Przy okienkach, zasnutych drobnymi firaneczkami, kwitły zamaszyście słoneczniki; wątła fasola wiła się po tykach; anemiczne różyczki zwisały znad furtek, brzoskwiniowe ich płatki drżały w ciszy. W gąszczu malin, na werandach i w altanach migają jasne suknie kobiet, potrącane kwiaty chwieją się na wysokich łodygach. Szczeka piskliwie jamnik, pracują w ogródku mężczyźni w szelkach, po drodze idą zadumane dzieci terkocąc kijem po sztachetach.

W głębi osady, przed placykiem wyłożonym płytami i otoczonym kwitnącym ży-

wopłotem, znajdował się mały kościółek. Schody z szarego kamienia — prawie brązowe w cieniu, który je przecinał na ukos; winograd spływał z dachu i chwiał się jak zielone sople, wśród nich prosty krzyż z czarnego marmuru; nad żelaznymi drzwiami werset, ciosany w kamieniu gotyckimi literami. W rozedrganym powietrzu kładł się łagodny, kojący zapach kwiatów z kościelnego ogrodu. Nad kościołem przeleciał z wyciem i trzaskiem dwumotorowy bombowiec, błysnął w skręcie srebrnym podbrzuszem i zniknął za drzewami, pozostawiając w uszach dzwoniącą ciszę.

Kamienne wnętrze kościółka było przytulne i chłodne jak altana. Strzeliste, podobne do złożonych dłoni sklepienie oplecione było złotymi i purpurowymi gałązkami ornamentów. W okrągłych witrażach blask słoneczny rozszczepiał się tęczowo i osiadał na ścianach kościoła jak na szklanej kuli. Nad ołtarzem okrytym białym obrusem, spoza wysokich kwiatów, wychylał się z obrazu anioł z mosiężną trąbą, wydymał

pyzate policzki i podtrzymywał dłonią niebieską szatę, którą rozwiewał mu wiatr. Na środku kościółka, oparta o okrągły filar, stała na drewnianym słupie okrągła amboneczka, lekka jak bombonierka. Stalle były także z drzewa, wygłaskane ludzką ręką. Na haczykach przed siedzeniami wisiały poduszeczki do klęczenia.

Jedna ściana kościoła była pusta, bezbarwna i surowa. Odsunięto od niej ławy, wyłożono posadzkę dywanem i okryto ciętym i doniczkowym kwieciem, różami, nasturcją, gladiolusami, goździkami, liliami, piwonią, mirtem i tulipanami; kwiaty tętniły barwą i urzekały zapachem. Woskowe świece paliły się równo i spokojnie, nie zmącone niczyim oddechem. Pod ścianą stały drewniane krzyże zaopatrzone w tabliczki i fotografie na emalii. Z fotografij patrzyły proste, uczciwe, żołnierskie oczy, usta mężczyzn były ściągnięte z powagą, na piersiach czerniały żelazne krzyże, a na kołnierzach błyszczały srebrzyste naszywki SS. Napisy głosiły, że oto synowie i bracia, i mę-

żowie, i ojcowie polegli w dalekich stepach Rosji i w górach Jugosławii, i na pustyniach Afryki, i gdziekolwiek indziej i że ich matki i siostry, i żony, i córki modlą się za nich, i że pamiętają ich, i oby Bóg dał im szczęśliwy, wiekuisty żywot.

»I N D E P E N D E N C E   D A Y«

Publicyście Kazimierzowi Koźniewskiemu

Brudny człowiek, czarny od dymu i sadzy, która wraz z potem spływała po jego błyszczącej, nabrzmiałej krwią twarzy, krzątał się pracowicie w rozwalonej pociskiem izbie na strychu poniemieckich koszar i niewybrednie klnąc usiłował gwałtownym dmuchaniem podsycić niemrawy ogień. Żelazny piecyk, przyciągnięty od baura, pozbawiony był rury i za każdym dmuchnięciem buchał mlecznym kłębem dymu, który rozlewał się po izbie jak gęsta ciecz. Na zardzewiałej blasze pieca piekły się rzędem okrągłe placki z kartoflanych płatków.

W rozbitych drzwiach izby pojawił się wysoki i dystyngowany pan z biało-czerwoną opaską na ramieniu. Wszedłszy w dym zakrztusił się gwałtownie i kaszlnął.

— Wynoście się stąd, kolego! — zawołał żartobliwie. — Jazda z takim ogniem! Całe koszary nam spalicie? Przecież słyszeliście o zakazie gotowania po kryjomu? No więc jak? Prawdziwy Polak tak nie postępuje! *Go on!* — wykrzyknął po angielsku, z lekka zniecierpliwiony.

Brudny podniósł się znad ognia, otarł rękawem twarz, przyjrzał się spod oka dystyngowanemu i odrzekł, spokojnie zeskrobując spaleniznę z blachy:

— Daj więcej jeść, sobaczy synu, to gotować nie będę. Myślisz, że mi smakuje? Na, spróbuj! — i pod nos podetkał mu parujący zgniłym zapachem placek. — A widzisz? Jakbyś nie kradł, tobym nie gotował, nie bój się. Masło nasze żresz łyżkami, a placków mi żałujesz?

— Słuchajcie, kolego, nie obrażajcie mnie — powiedział tamten. — Ależ tu dym gryzie! Nie lepiej to pobyć na świeżym powietrzu?

— Kto zżera przydziały i Żydówkom mięso nosi, temu i świeże powietrze smakuje.

A mnie i tu dobrze. Kogo gryzie — droga wolna.

Człowiek z opaską na ramieniu chwycił brudnego brutalnie za klapy marynarki, poderwał znad pieca i rzekł przez zaciśnięte zęby:

— Zobaczymy, czy gdzie indziej nie będzie ci lepiej!

Jednocześnie na progu izby ukazał się inny człowiek z opaską, krępy, o niskim czole i kwadratowej szczęce, i wszedł bez zastanowienia w dym.

— A to skurwysyn — rzekł śpiewnie sam do siebie.

Po chwili wyszli z dymu wszyscy trzej. Zniknęli za zakrętem korytarza, zostawiwszy nie zagaszony ogień i nie dopieczone placki. Zeszli zgodnie po schodach, lecz na parterze drogi ich się rozeszły. Wysoki człowiek z opaską poszedł korytarzem w lewo, rzekłszy uprzednio do towarzysza:

— Kolego, wy go bądźcie tak dobrzy odprowadzić na bramę i opowiedzcie panu *master*-sierżantowi, że chciał policję pobić,

ja zaś skoczę pobrać kiełbasę i chleb. Zdaje się, że są na zagranicę listowe blankiety, trzeba parę zorganizować od wypadku.

Krępy odrzekł, marszcząc silnie czoło, tak że znikło pod krótko ostrzyżonymi włosami:

— Dam se rade, kolego. Spokojna wasza głowa. A ty, kaczy synu, nie próbuj uciekać, bo ci gnaty połamię.

Szarpnął brudnego za wykręconą rękę. Brudny zaklął plugawie. Przeszli przez betonowy plac i dotarli do bramy. W budynku przy bramie mieścił się bunkier. Na placyku przed bunkrem wyprostowany żołnierz wciągał na maszt chorągiew amerykańską. Kilku żołnierzy salutowało uroczyście, porzuciwszy piłkę od palanta i gumowe rękawice do jej chwytania. Zanim tamci znikli w budynku, żołnierze powrócili do przerwanej gry.

Z okazji *Independence Day*, *master-sergeant* wypuścił z bunkra wszystkich przestępców; brudny był pierwszy po amnestii. Zaprowadzono go do samotnej celi i zosta-

wiono samego na tydzień. Człowiek usiadł w kucki na kamiennej podłodze i spoglądał w wąską szparę okna otwartego na dziedziniec. Miało się już ku wieczorowi. Drzewa siniały i powietrze ścieśniało się mrokiem. Pod drzewami spacerowały zakochane pary. Byli to kucharze, którzy kupowali dziewczęta za jedzenie podkradane w kuchni. Brudny człowiek wstał, wydobył z kieszeni kawałek ołówka, obtarł go o spodnie i, wypychając językiem policzek, starannie wypisał na chropowatej ścianie drukowanymi literami:

Dwa razy w bunkrze:

21. 9. 1944 — 25. 9. 1944 — za sabotaż przy pracy w niemieckim KL Dachau, polegający na pieczeniu placków kartoflanych.

4. 7. 1945 —
za naruszenie przepisów porządkowych w amerykańskim obozie zbornym dla b. heftlingów z KL Dachau, polegające na pieczeniu placków kartoflanych.

Po czym podpisał się z rozmachem i, oparłszy się łokciami o parapet, patrzył z zazdrością na podwórze, po którym spacerowały dziewczęta z kucharzami.

O P E R A, O P E R A

Po krótkiej uwerturze pluszowa kurtyna znowu uniosła się do góry. Złotawy blask reflektorów zalewał kamienie podwórza więziennego, otoczonego ponurymi murami z dykty. Teatralnie ostry cień okrywał wejście do piwnic, skąd wydobywał się głuchy tupot ludzkich nóg, potęgowany umiejętnie basami orkiestry. Dyrygent w czarnym fraku stał bokiem do sceny, oświetlonej od dołu trupim woskowym światłem. Twarz jego była żółta, a na wpół otwarte usta i zapadnięte oczy były sine, jakby wyschłe. Ręce jego chwiały się i drgały poetycznie w takt muzyki, jak gałęzie na porywistym wichrze. Przebrana za mężczyznę śpiewaczka wtulona była w kąt muru więziennego. Dozorca, który stał obok niej, miał na sobie kapotę do kolan, fałszywą łysinę na głowie

i trzymał w ręku pęk prawdziwych, żelaznych kluczy.

Przechyliłem się na fotelu i oparłem łokieć o poręcz obitą suknem. Nozdrza mi drgały odruchowo. Słodkawy zapach włosów mieszał się z drażniącym odorem skóry, wonią pudru i lawendy. Czułem koło policzka ciepły kobiecy oddech.

— Ależ to piękne — szepnąłem, pełen podziwu dla mimowolnego kontrastu subtelnych cieni i świateł, jakimi grały widownia, orkiestra i scena.

— *O ja, das ist wunderschön* — odszepnęła skwapliwie kobieta. Odwróciła do mnie głowę i uśmiechnęła się czule. Miała szkliste, perłowe zęby. Jedno jej oko zachodziło jakby mgłą — nadawało to jej twarzy odcień wiecznego zawstydzenia. Patrzyłem na nią przez zmrużone oczy, marszcząc nieznacznie brwi.

— *Bist du vielleicht böse?* — zapytała szeptem, nagle zaniepokojona. Zamrugała powiekami i pogłaskała koniuszkami palców moją dłoń. Rzędy ludzkich głów, ko-

biecych, żołnierskich i urzędniczych, wychylały się z półmroku u naszych nóg. W lożach na tle czarnych kotar świeciły oficerskie szare twarze o ziemistych oczodołach.

— *Aber wo? Warum soll ich denn?* — Wyciągnąłem z kieszeni tabliczkę czekolady i podałem kobiecie do gryzienia. Ułamała kawałek, resztę wsunąłem z powrotem do kieszeni. Cynfolia zaszeleściła mi w palcach sucho jak rozdzierana gazeta.

Dyrygent zwiesił ręce i muzyka złagodniała, prawie ucichła. Kroki z podziemia rosły i, odbite piwnicznym echem, niosły się po całym teatrze. Czuć było w nich przejmujące znużenie, strach i tęsknotę. Muzyka podniosła się spazmatycznie i naraz umikła. I wtedy z wilgotnej czeluści wyczołgał się przez drzwi piwnicy mrowiący się kłąb ciał i wypełznął jak lepka plazma na środek podwórza, na pełne słońce. Zakuty jakby w jeden łańcuch, okryty jakby jednym zgniłym łachmanem, kłąb podniósł jedną — zdawało się — przeraźliwie ślepą twarz ku słońcu i wyciągnął w niebo dzie-

siątki nagich, koszmarnie białych rąk. I nagle szepnął grobowym szeptem: „*Sonne!*“ i wraz z wybuchem orkiestry buchnął ogromnym szlochem: „Słońce, Słońce!“ Przez widownię przebiegł widomy dreszcz, który ogarnął i moje ciało. Po chwili muzyka przycichła i statyści zamarli w nieco teatralnym zachwyceniu na samym środku podwórza. Wreszcie wystąpiła śpiewaczka z arią, a po jej dośpiewaniu poruszył się niespokojnie pod murem dozorca z kluczami. Kłąb ciał zwinął się jak nadeptany robak i, odprowadzony barytonem dozorcy, wsunął się w drzwi piwnicy i zapadł w podziemie.

Kobieta patrzyła na scenę rozszerzonymi oczyma. Pochyliła się do przodu, wpijała się palcami w poręcz fotela. Złapawszy moje uważne spojrzenie, uśmiechnęła się bezradnie.

— *Bist du vielleicht böse?* — zapytała lękliwym szeptem. Piersi jej uniosły się w westchnieniu. Wydatny dekolt odsłaniał między nimi biały, głęboki rowek.

— *Aber wo! Warum soll ich den?* — odrzekłem przesuwając oczami po jej ciasno opiętym brzuchu.

Kurtyna opuszczała się powoli, oficerowie, żołnierze, urzędnicy alianccy, panie z towarzystwa, studenci i dziewczęta nagradzali burzliwymi oklaskami Fidelia, więźniów i dozorcę. Dyrygent kłaniał się nisko, odgarniając z czoła długie włosy. Kurtyna znowu poszła do góry. Kobieta patrzyła na moją zieloną esmańską kurtkę z rękawami na wyrost, którą dostałem na wychodnym z obozu, oddawszy pasiaki, koszulę z pokrzywy i kalesony. Usta jej poruszały się, ale nie dosłyszałem słów. Rzekła wyraźniej: — *Bist du böse?*

— *Nee, warum soll ich denn?* — odrzekłem z uśmiechem. Położyłem dłoń na jej biodrze, przesunąłem ją aż do pachwiny i wpiłem palce w jej ciało z taką siłą, że kobieta wyprężyła się cała, wparła się karkiem w poręcz fotela, a w jej ściągniętych kurczowo wargach ukazały się szkliste, perłowe zęby, mocno zaciśnięte z bólu.

PODRÓŻ PULMANEM

Nauczyciel wychylił głowę przez okno pulmanu. Pociąg zaterkotał na złączeniach szyn i skręcił na inny tor, między towarowe wagony z drzewem, maszynami i węglem. Przed semaforem zaczął hamować i dawać znaki syreną.

— Dojeżdżamy — rzekł nauczyciel.

— Tak — odpowiedziałem.

— Trzeba pójść do dzieci — rzekł nauczyciel. Spuścił nogi z koi, przetarł oczy i przeciągnął się. — Od granicy pan ciągle leży. Nie nudno leżeć?

— Nie nudno leżeć — odpowiedziałem.

— Pewnie zostawimy dzieci na punkcie. Niech czekają na rodziców — rzekł nauczyciel. — Pociąg pójdzie dalej pusty. Nie będzie tej mordęgi.

— Repatriacja była przyjemna — powiedziałem schodząc z posłania.

— Bardzo — rzekł nauczyciel.

Wyszedł z przedziału i zatrzasnął drzwi. Pociąg jechał coraz wolniej. Przeszedł znowu na inny tor, zagwizdał i zatrzymał się pod semaforem. Na sąsiednim torze stały towarówki nabite ludźmi, bydłem i sprzętami i umajone zwiędłą zielenią. Przez otwarte drzwi krowy wysuwały chude pyski, kościste konie stały w głębi wagonu. W wagonach dymiły żelazne piecyki. Kobiety w szerokich spódnicach krzątały się koło garnków. Paru mężczyzn myło się przed drzwiami, polewając ręce wodą nabraną do ust. Kury apatycznie łaziły pod kołami wagonu i rozgrzebywały gnój. Bosonoga dziewczyna niosła naręcze siana dla krów. Długie warkocze uderzały ją po plecach. Wiatr przywiewał od towarówek zwierzęcy i ludzki smród.

Nauczyciel wszedł do przedziału. Wyjrzał przez okno i położył mi rękę na ramieniu.

— No i? — zapytałem.

— Osiedlamy się — rzekł nauczyciel.

— Tak — odpowiedziałem.

Nauczyciel zagwizdał przez zęby i wlazł na posłanie. Umościł się wygodnie i otulił szczelnie kocem.

— Byłem tam między nimi — powiedział i westchnął. — Ech, Boże, Boże.

— Tak — odpowiedziałem.

— Jadą już całe dwa miesiące. Tu stoją cztery dni. I nie wiadomo... — rzekł nauczyciel. Odwrócił się twarzą do ściany.

— Tak — odpowiedziałem.

Pociąg zahuczał i ruszył. Koła zaterkotały na złączeniach. Pociąg przeszedł obok cystern, platform i pustych wagonów i wjechał po głównym torze na peron.

Peron wznosił się nad ulicą miasteczka i był zatłoczony ludźmi. Na schodach siedzieli przy tłumokach podróżni. Mieli na sobie zmięte ubrania i byli zmęczeni. Koło bariery stała orkiestra kolejarzy w czarnych mundurach. Dyrygent dał znak pałeczką i orkiestra rozpoczęła hymn.

— Ech, Boże — rzekł nauczyciel nie odwracając się od ściany.

Dziewczynki ze szkoły podeszły do pociągu i podawały do okien bukiety goździków. Biało ubrane panie w czepkach roznosiły wzdłuż wagonu gorące kakao w fajansowych kubkach oraz świeże bułeczki z masłem. Gruźlicze dzieci, przywiezione pulmanem, tłoczyły się w oknach, śmiały się do orkiestry i klaskały w dłonie.

— No tak — powiedziałem i odszedłem od okna. Rozciągnąłem się na posłaniu i podłożywszy ręce pod głowę zacząłem patrzeć bezmyślnie w sufit.

P O K Ó J

Mieszkam w pokoju, w którym są dwa wypalone okna. Jedno z nich zaopatrzone jest w solidne, chociaż nieco zardzewiałe kraty. Na parapecie drugiego stoi gąsior pełen wiśniowej nalewki i leży zmiętoszona robótka ręczna.

Wśród mebli, które ustawiono na gnijącej podłodze zaraz po wyzwoleniu miasta, najcenniejszym sprzętem jest szafa, ponieważ na górnej półce schowane są: puszka amerykańskich sardynek, dwa blaszane pudła z biszkoptami i gumowy oficerski płaszcz, kupiony w pewnym D. P. Campie za osiem pudełek papierosów *Camel*. Na środkowej półce znajduje się maszyna do pisania typu *Continental*, która kosztowała trzydzieści dolarów jak obszył. Prawdopodobnie najwięcej zarobił na niej giełdziarz

spod hotelu, o poufałym wzięciu warszawskiego rodaka. Na dolnej półce leżą cztery pary skarpetek i pół kilo pomidorów w torebce.

Po suficie łażą pająki.

Solidnego tapczana, przytaszczonego przez zapobiegliwą rodzinę, nie cierpię, bo — podobnie jak obozowa buksa — roi się od pcheł i pluskiew. Kiedy wieczorem zapowiada się noc bez deszczu, biorę poduszkę i dwa kanadyjskie koce włochate, własność pewnego blokowego z obozu Allach, i idę spać do publicznego ogrodu, pełnego kochanków i pijanych milicjantów, którzy strzelają z pepesz do księżyca.

Za dnia zaś siedzę przy okrągłym mahoniowym stoliku, uzyskanym z mieszkania zabitego Niemca, i dusząc się od upału piszę aż do zmroku. Jednocześnie drapię nieustępliwie ciało, które pali jak przypiekane węglem.

Przy rozżarzonym żelaznym piecyku krząta się dziewczyna w czarnej sukience i śpiewa. Jej drobna, różowa twarz ginie

w ramie pretensjonalnie upiętych włosów.

Dziewczyna sypia na łóżku w drugim końcu pokoju. Co dzień gotuje mi obiad i postawiwszy na stole chleb, pomidory, zupę i kartofle, wynosi chyłkiem pełen talerz zupy za drzwi i biegnie z nim po schodach do pewnego młodego bezrobotnego, który nie może znaleźć odpowiednio wygodnej pracy.

Ponieważ ona żyje z nim, a nie ze mną.

LATO W MIASTECZKU

Wojtkowi Żukrowskiemu

Wysoko nad gontowymi dachami miasteczka stał na wzgórzu wśród lip ogromny kościół z czerwonej cegły. Kamienne schody pięły się stromo od podnóża porosłej bujną trawą góry, na której stokach żarłocznie pasły się kozy, aż do kutej w żelazie bramy kościelnej, która, otwarta na oścież, wiodła w mroczną otchłań kościoła, przesiąkniętego wilgotnym zapachem średniowiecznych murów. Kościół ozdobiony był dwiema spiczastymi wieżami okrytymi szarą dachówką. Na czubku lewej wieży płonął w słońcu wysmukły, złoty krzyż, na prawej, na pamiątkę zaparcia się Piotra, budowniczowie umieścili na długim pręcie koguta z czarnej blachy, obracającego się za wiatrem.

Wąska uliczka szła łagodnie po zboczu wzniesienia i omijając szerokim łukiem ko-

ściół podchodziła do miejskiego placyku, na którym rozłożył się wędrowny czteromasztowy cyrk. Zainstalowany na szczycie namiotu cyrkowego megafon rozbrzmiewał swobodną melodią piosenki miłosnej, w jej rytm zawrotnie kręciła się barwna karuzela i kołysały się huśtawki. Jaskrawy tłum krążył hałaśliwie między budami, gdzie w klatkach wystawiono na pokaz egzotyczne zwierzęta: wielbłąda, lamę i szakala, a roześmiane dziewczęta tłoczyły się niecierpliwie wokół kataryniarza z papugą, która dziobem wyciągała ze skrzynki losy szczęścia i niedoli. Ciepły wiatr owiewał im twarze i falował płótnem barwnych parasoli, ocieniających stragany z kwiatami i stoliki do gry w trzy karty. Placyk otoczony był z trzech stron ruinami spalonych domów.

Z czwartej strony placu, przytulona do surowych murów kościoła, stała plebania. Był to piętrowy domek o kolorze dojrzewającej maliny, nakryty z lekka omszałym, fioletowym dachem. Na wysokości pierwszego piętra dom otoczony był galeryjką

o przedziwnie delikatnej, chciałoby się rzec — mauretańskiej architekturze. Okna plebanii zasłonięte były zielonymi żaluzjami od słońca, które rozświetlało dach i ściany domu, przeświecało na wylot przez gałęzie płaczącej wierzby przed gankiem i zalewało blaskiem kwitnący przed plebanią ogródek, świeżo ogrodzony sztachetami.

Między krzewami przejrzałych malin i porzeczek spacerował w ogródku po ścieżce młody, rumiany ksiądz w zapiętej po szyję sutannie. Młody ksiądz czytał uważnie księgę w skórzanej oprawie, trzymając ją tuż przed oczyma i ruszając z lekka wargami, i zupełnie nie zwracał uwagi ani na gwar i śmiechy tłumu błądzącego wśród bud jarmarcznych, ani na oklaski i okrzyki zachwytu, którymi darzono na placyku produkującego się dla reklamy cyrku linoskoczka w czarnym trykocie, ani też na ochrypłą piosenkę megafonu. Czasami tylko podnosił znad książki zmęczone oczy i splatając na brzuchu gładkie, o złotawym odcieniu dłonie, prężnie prostował się

i zwracał rumianą, nieco pucołowatą twarz, okraszoną dobrotliwym półuśmiechem, ku galeryjkom na pierwszym piętrze, przedziwnie delikatnym, chciałoby się rzec — mauretańskim w swej architekturze.

Wzdłuż zasłoniętych zielonymi żaluzjami okien pierwszego piętra, pod lekko rzuconym dachem delikatnych, mauretańskich galeryjek, obciągając gruby, biały sznur, wisiały półkolem przejrzyste i powiewne, różnobarwne — seledynowe, karminowe, niebieskie i czarne części damskiej bielizny: koszule, staniczki, pyjamy i pończoszki — i, jakby ktoś w nich przebierał dla zabawy, kołysały się łagodnie na sznurze, potrącane ciepłym wiatrem.

DZIEWCZYNA ZE SPALONEGO DOMU

Przechyliłem się ciekawie przez barierę mostu, mocno obejmując palcami chłodne żelazo poręczy, aby nie ugniatało piersi, i na chwilę przymknąłem powieki. Powietrze pachniało jeszcze wciąż letnim deszczem, ale już poczynało falować od słońca, a z rozgrzanych kamieni chodnika podnosiła się ciepła jak oddech para i ocierała się o skórę nóg. Od rzeki szły rześkie, jakby bukowe powiewy, nasilały się i słabły, migotały nieledwie jak łamiące się fale, czasem prześlizgiwała się między nimi, jak błysk na wodzie, winna woń butwiejących liści. Co prawda, ściągałem bojaźliwie nozdrza, gdyż po asfalcie ulicy ciągnęły z łoskotem ciężarówki wydzielając ckliwy fetor spalin, który mieszał się z zapachem wilgotnego kurzu, przesiąkał bagiennymi wyziewami z ryn-

sztoków i zagłuszał zupełnie podmuchy rzecznego wiatru.

Wypalony dom, czerwone, podbrązowione cegły, jakby zgniłe od góry, pokryte liszajami tynku i sinymi zaciekami; w pustym, do szczętu wyjedzonym przez ogień wnętrzu — cienkie piszczele kominów; nielogiczne otwory w murze na niepotrzebne drzwi i okna — wszystko oplecione żarłocznym bluszczem, który wgryzał się w ściany i pełzał po gzymsach; siatka odgradzająca dom od ulicy — zardzewiała i postrzępiona; przy domu dychawiczna, blada topola, srebrna od deszczu i przełamana przez pocisk — oglądane znad arkad mostu — leżały drobne i kruche, nieważne jak dziecięce zabawki.

Za murami rozpościerało się rozległe pole zarosłe bujną, puszystą trawą, wyblakłą jak stare obicie zielonej kanapy, która stała kiedyś w wypalonym domu; wśród trawy mieniły się tęczowe odpryski rozbitych szyb. Gdzieniegdzie rudziały płaty świeżego gruzu, roślinność nie zdążyła jeszcze pochłonąć

całkowicie niedawnego usypiska. Opasywała je półkolem ulica o wykrzywionych latarniach, wykarczowana z domów i nie uczęszczana przez przechodniów, a na stoku skarpy, ociężałe i rozparte w ziemi, rosły fantastycznie obfite, pieniące się liśćmi drzewa; trawa pięła się drapieżnie po zboczu i kłuła ostrą zielenią wzrok; wśród drzew zasłonięte krzewami stały czołgi pomalowane na kolor zwiędłych liści i bieliły się modele myśliwskich samolotów. Pod skarpą na żółciutkim piaseczku wystawiono na widok publiczny broń artyleryjską rozmaitego kalibru. Wzdłuż mostu turkotały po kocich łbach chłopskie biedki naładowane cegłami i wapnem, nad domem zaś, nad polem, skarpą i biedkami samotnie toczyły się po niebie skłębione chmury o liliowych i różanych brzuchach, rozkwitały i więdły na wietrze jak przyśpieszone kwiaty.

Rozpamiętywałem znad arkad mostu niedowierzająco ten krajobraz i mimo woli prawie oczekiwałem, że gdy otworzę powieki,

trawa zarastająca usypisko, żelazna krata powleczona minią, czołgi, samoloty i armaty wszelkiego kalibru, wystawione na pokaz, owe biedki, apatyczne konie, woźnice, ich cegła i wapno — rozwieją się w powietrzu, a na ich miejsce wrócą łamliwe, gęste krzewy, napełnione szelestem liści i świegotem ptaków, zazielenią się wyschłe drzewa, wypalony dom zapełni się ludźmi i, przymykając spaczone, wiecznie zacinające się drzwi, wyjdzie z nie istniejącego korytarza dziewczyna w granatowej narzutce i podniesie ku niebu bladą, skupioną twarz. Dziewczyna przechodziła ścieżkami obok żywopłotu, przemykała się między krzewami zręcznie jak zwinne zwierzę; wieczorami, kiedy niebo było wyiskrzone i śliskie jak lód, kładło się na jej postać światło księżyca lub ogarniał ją chwiejny cień topoli, towarzyszył jej duszny zapach maciejki lub surowa, piwniczna woń wiosennej ziemi albo zeschłe liście szeleściły jej pod nogami, albo szkliście chrzęścił drobny lodek; wychodziła zza rogu ulicy i — przykucnięci pod filarem mostu,

siorbiąc łapczywie zbyt gorący płyn, zjadaliśmy na rzeźbionym kamieniu kartoflankę albo barszcz, albo rzadką kaszę, przeznaczoną dla mnie na kolację; na iluż dróżkach, ulicach, w iluż wnętrzach trwała postać tej dziewczyny, ileż razy czułem chłód jej krwistych warg, bliskie ciepło jej ciała; ileż razy wpatrywałem się w mroku w jej śniadą, boleśnie przejętą rytmem ciała twarz; miłość chłopięca i zazdrość kobieca; czułość i zaciętość; rozłąki i powroty; dziecięcość i dojrzałość; ulice, trotuary, drzwi domów, ludzie, obrazy nieba, parki szumiące cieniem, pełne jej białych rąk; zabawy ludowe o barwach perkaliku, deszcze, słońca, drzewa i powietrze — napełnione są jej obrazami, trwalszymi pod zamkniętą powieką aniżeli zamaskowane czołgi wśród zieleni, bielone samoloty i różnokalibrowe działa, na żółciutkim piaseczku wystawione gapiom na pokaz.

Otworzyłem oczy pełne minionego krajobrazu i, włócząc nogę za nogą, ciężko zeszedłem po kamiennych schodkach wiaduk-

tu, śmierdzących uryną i błotem, aż na chodnik ulicy. Popatrzyłem na półnagich robotników, którzy w bocznej uliczce wybierali z gruzów cegły i spuszczali je po drewnianej rynnie, popatrzyłem na fury z cegłą, ciągnione przez umęczone konie, objąłem wzrokiem trawiaste pole, wyschłe drzewa, skarpę i topole na skarpie — krajobraz, do którego niegdyś byłem przywiązany — wreszcie brużdżąc głęboko brwi, energicznym krokiem ruszyłem do śródmieścia. Kiedy przechodziłem koło wypalonego domu, na którym plenił się bluszcz, powiał od pola wiatr i poczułem w nozdrzach, jak żywą, wydobywającą się z głębi fundamentów, z zasypanych gruzem piwnic słodkawą smugę zapaszku gnijącego ciała.

Jednakże węch mnie omylił, gdyż, jak mnie przypadkowo poinformowano, dziewczyna ta została na innej ulicy i w innym domu zasypana gruzem, w pół roku zaś po jej śmierci ekshumowali ją krewni i *lege artis* pochowali na tanim podmiejskim cmentarzu.

Z A L I C Z K A

Człowiek ten był mały i nieco przesadnie odżywiony. Miał cienki, śpiewny, prawie kobiecy głos, a kiedy uśmiechał się, na jego pełnej i gładkiej jak u oseska twarzy pojawiały się drobne kropelki potu. Człowiek ten prześliznął się po posadzce korytarza i, wskazawszy mi pulchną dłonią drzwi do gabinetu, poprosił mimiką policzków i ust oraz płynnym przegięciem ciała, abym zechciał wejść i zaczekać na niego. Ledwie zdążyłem umieścić się na obitym skórą krześle i przejechać parę razy podeszwą sandału po włochatym dywanie jako też rozejrzeć się, czy nie zawieszono nowego obrazu między oknami na jedynej ścianie pozbawionej kilimu, kiedy człowiek ten wsunął się cichutko do gabinetu, przymknął dyskretnie drzwi i z wprawą, nabytą, jak

złośliwie pomyślałem, przez uporczywe ćwiczenie — zasiadł za mahoniowym biurkiem na dyrektorskim fotelu.

— Nie, nie, nie, nie! — wykrzyknął po dłuższej chwili z doskonałą, aczkolwiek może nazbyt afektowaną dykcją.

Zdjąłem teczkę z kolan, wstałem, wyprostowałem się w całej swej wysokości, ukłoniłem się sztywno i patrząc cały czas na sufit wyszedłem na palcach z gabinetu.

— Bardzo mnie to cieszy, że mimo przeszkody idzie pan w przyszłość z podniesionym czołem! — rzekł uśmiechając się ten człowiek, który tuż za mną wypłynął z pokoju, prześliznął się zręcznie po korytarzu i zniknął w przeciwległej sali, zastawionej ciasno sosnowymi biurkami i krzesłami i pełnej milczących, skupionych urzędników.

Ten człowiek powinien był wydać mi się antypatycznym — pomyślałem gładząc odruchowo żelazną poręcz schodów. A jednak wygląda bardzo przyjemnie. Widocznie dlatego, myślałem schodząc coraz niżej, że

wbrew zwyczajowi ludzi niskich nie zadziera on głowy do góry i nie stara się unoszeniem pięt przydać sobie znaczenia wobec ludzi wysokich.

Dopiero zeszedłszy po kamiennych schodach dwa piętra w dół, nagle uświadomiłem sobie, że przecież ja jestem o wiele niższy od niego.

UPALNE POPOŁUDNIE

Józefowi Mortonowi

Na nagim niebie słońce leżało martwo jak wysuszona kość. Rozżarżone powietrze stało słupem nad ziemią. Na jezdni topił się asfalt i pachniał prażoną smołą. Jeździły po nim bezszelestnie ministerialne limuzyny. W ślad za limuzynami podnosił się miałki kurz i opadał na liście jak srebrna rdza.

Po liszaju wydeptanej ziemi biegały obdarte dzieci, kopały piłkę ze szmat, pokrzykiwały ochryple i wypluwały pył z gardła. Twarze ich były opuchłe i nabiegły z wysiłku krwią. W bramce między postrzępioną pociskiem topolą a stosem ubrań stał rozkraczony chłopiec opierając dłonie o uda. Bramkarz miał podrapane kolana, ale krew już przyschła na skórze.

Kiedy, idąc od ulicy po zwiędłej trawie, zbliżyłem się do niego, gra właśnie się skoń-

czyła. Kłócąc się hałaśliwie i przerzucając szmaciankę z rąk do rąk, chłopcy zeszli w cień. Bramkarz natarł śliną rany na kolanach i, podniósłszy ubranie z ziemi, poszedł za innymi.

— O, jaka bezwstydna dziewczyna — przystanąwszy koło mnie, rzekł, jakby urażony, wskazując brodą w stronę wyschłego żywopłotu, który rósł pod ruinami. Dzikie wino pięło się po ścianach wypalonych domów, oplatało wąsami kamienne kariatydy i pleniło się na resztkach balkonów i galeryjek. W cieniu drzew, na wilgotnym trawniku, rozstasowali się rodzinami ludzie. Mężczyźni leżeli półnadzy na kocach, oddychali ciężko, byli bladzi i rozmiękli jak gotowane ryby. Ich kobiety spały twarzą w trawie — obok zmiętych gazet, papierów po chlebie i skorup jajek. Inni mężczyźni, zdjąwszy ze siebie marynarki, grali w zamkniętych kręgach w karty i pilnowali przynależnych im dzieci, które igrały różową piłeczką i uganiały się ze śmiechem pomiędzy rodzicami.

Za kręgami zaś rodzin, w samym środku słońca, wprost na wysuszonej ziemi, pod żywopłotem, leżała bezwładnie, jak przywalona słupem, samotna dziewczyna w kwiecistej sukience, pod którą nie było bielizny. Wystawiła chciwie tłustą, spoconą twarz do słońca, podciągnęła kolana i rozchyliła zuchwale i wyzywająco rozlane białe uda.

— W rzeczy samej, co za bezwstydna dziewczyna — odpowiedziałem przyjaźnie kiwnąwszy głową i, położywszy chłopcu rękę na ramieniu, zacząłem patrzeć na nią zachłannie — tak samo jak on.

POD BOHATERSKIM PARTYZANTEM

Jarosławowi Iwaszkiewiczowi

W ogródku rozrywkowym „Pod Bohaterskim Partyzantem“, pomiędzy wkopanymi w ziemię stołami i ławami z surowych desek, rosły wysmukłe, chropawe topole. Postrzępione ich kopuły, delikatne jak ptasie pióra na tle zmierzchającego nieba, nabierały przeczystej czerni. Między czubami drzew kłębiaste obłoki płynęły po niebie wolno — niczym kry po leniwej wodzie.

W kącie ogródka rozrywkowego przybudowana była do ściany sąsiedniej kamienicy drewniana buda, w której mieścił się bufet. Panienka za ladą miała kunsztownie upięte włosy, spłoszoną twarz, skromnie ozdobiony medalionikiem dekolt oraz grube dłonie i poogryzane paznokcie. Kelner miał różową łysinę, która ciemniała wraz z niebem, ołówek za uchem i z gracją balan-

sował wśród stolików, ław, ludzi i topól. Za kamienną balustradą przyglądały się ogródkowi dziewczęta, które nie miały pieniędzy na bilet wstępu. Ulicą wracała z pastwiska krowa prowadzona na postronku, klapała rozgłośnie kopytami o bruk i kołysała ciężkim wymieniem.

— Ależ mówię ci, że te kobiety są na pewno lesbijkami — powtórzyła z uporem moja żona. Paląc papierosa jednego za drugim, przyglądała się przez zmrużone oczy tańczącym parom. Nie tańczyłem z nią prawie nigdy, gdyż była tęższa i wyższa ode mnie.

— Lesbijki w prowincjonalnym mieście? To bardzo wzruszające — odrzekłem z uśmiechem. — Wypijmy butelkę wina na ich cześć.

W zielonej muszli z dykty, od której niosło stęchłą wilgocią, rozdziani do koszul muzykanci wykonywali sentymentalne tango. Cienie muszli i wieczoru zacierały ich postacie, poblask zachodni, odbity od bielonej ściany teatru przytykającego do ogródka,

przecinał w pół twarz akordeonisty, który stał na krawędzi podium i, przebierając palcami po klawiszach, przechylał głowę ciekawie, jakby usiłował pochwycić szum ludzki. Jego wyłupiaste oczy były — rzecz oczywista — ślepe.

U nóg ślepego akordeonisty kłębił się na dębowym parkiecie tłum z miasteczka, barwny jak wytrząsany worek z gałgankami. Z wnętrza jego wynurzały się poszczególne pary, zataczały się na skraju parkietu i znikały w gąszczu. Zdemobilizowany oficer w czarnym berecie obejmował dłonią malutką kobietę tuż pod karkiem i uginał nogi w sztywnych saperkach, które sięgały mu do pół łydki. Krótko ostrzyżony chłopiec w sportowych spodniach odsuwał na odległość ramienia starszą od siebie partnerkę, która usiłowała przytulić się do niego; dreptali bokiem, drobiąc w swingu uważnie stopami.

Ale najpiękniej tańczyły dwie lesbijki. Kobieta przebrana za kobietę miała na sobie suknię w czerwone serca i zielone liście

klonu oraz purpurowe sandały, jasne włosy spadały jej gładko na ramiona. Na piersiach miała wpiętą różę, oczy jej były lekko podkrążone. W ramionach kobiety przebranej za mężczyznę gięła się jak kwiat od podmuchu, przejmowała ciałem każdy ruch swego mężczyzny, podchwytywała każde drgnienie jego dłoni, każdy wariant obrotu, ocierała się, szczęśliwa, biodrem o jego biodro, jej drobniutkie stopy ślizgały się po parkiecie tuż przy czarnych pantoflach kobiety przebranej za mężczyznę. Patrzyła jej w oczy z niewysłowionym oddaniem, krwiste jej usta rozchylały się lubieżnie, ukazując drobne, ostre, drapieżne zęby.

Kobieta przebrana za mężczyznę miała na sobie luźną marynarkę ozdobioną muszką w kropki i białym goździkiem w klapie. Szerokie marynarskie spodnie nie mogły ukryć przed okiem widza, że biodra jej były rozrośnięte, dobre do rodzenia. Małe pantofelki o wąskich noskach zdradzały, że związana z rytmem noga nie należy do mężczyzny. Mężczyzna ów miał jasne, falujące

włosy, ucięte nad karkiem, i twarz delikatną, o subtelnie zarysowanych wargach. Prowadził swoją partnerkę wśród tłumu dłonią pewną i ostrożnie, umiał wśliznąć się w każdą lukę, tańczył tak swobodnie, jakby na parkiecie nie było nikogo więcej. Patrzył w oczy swojej kobiecie z pobłażliwym uśmieszkiem, a kiedy taniec się skończył, kobieta przycisnęła jego rękę gorąco do piersi. Odeszły z parkietu przytulone do siebie.

Tymczasem w ogródku ściemniło się zupełnie. Pomiędzy drzewami kołysały się na wietrze światła jak złote kule. Czarne cienie drzew bezszelestnie przesuwały się po ziemi. Liście topól drżały i migotały prześwietlonym grzbietem, wiatr odchylał je, zanurzał w cień i pokazywał ich czarne podbrzusza. Niebo było sine, prawie granatowe, woń potu ludzkiego mieszała się z zapachem lip, które rosły w parku po drugiej stronie ulicy.

W muszli muzycznej rozbłysły światła. Na parkiecie było jeszcze tłoczniej, lampa rzucała smugę światła na skraj desek. Tań-

czący tłum wynurzał się z mroku, przepływał przez smugę i niknął w cieniu. Na czele tłumu jak na grzbiecie fali przesunęły się przez smugę dwie lesbijki. Kobieta w stroju mężczyzny nagle przerwała taniec, przeprosiła z zakłopotanym uśmiechem swoją towarzyszkę i odeszła w głąb ogrodu pod ocienioną topolę.

Nie wierzyliśmy własnym oczom. Gdy zaś lesbijka weszła w krąg światła dopinając charakterystycznym męskim ruchem rozporek, przekonaliśmy się ostatecznie, że to był mężczyzna.

DZIENNIK PODRÓŻY

...faszysto, wrogu mój śmiertelny.

Adam Ważyk

Opuściwszy renesansową katedrę, w której nad głównym ołtarzem, odsuniętym dla wygody turystów od ściany, między dwoma zadymionymi oknami, ukryty w cieniu, wisiał tuż pod sklepieniem tryptyk Tycjana, zadymiony jeszcze gorzej niż okna, przeszliśmy leniwym krokiem do archiwum miejskiego, mieszczącego się obok w ratuszu, skąd, po obejrzeniu dziesiątków dokumentów arabskich, tureckich, łacińskich i słowiańskich, opatrzonych w ogromne pieczęcie z laku i kolorowe inicjały, a nawet rysunki, skierowaliśmy się bez pośpiechu wzdłuż głównej ulicy starego miasteczka, zaludnionej pomniczkami i gwarnym tłumem kuracjuszy, korzystających ze śródziemnomorskiej jesieni, podobnej do nasze-

go lata. Ulica była wyłożona płytami kamiennymi zbielałymi od deszczu i słońca i pięła się od barbakanu portowego, wysuniętego w morze i chroniącego dojścia do mola, aż do zbudowanej nieco na zboczu bramy miejskiej. Brama ta starą, otoczoną grubym murem średniowiecznym i ciasno zabudowaną dom przy domu dzielnicę miasta o uliczkach i zaułkach tak wąziutkich, że można było rozłożywszy ramiona dotknąć ścian przeciwległych kamienic, dzielnicę pachnącą zupą, mokrą bielizną, która chwiała się na sznurach nad uliczkami, pełną dzikich kotów i nieufnych, brudnych dzieci — oddzielała od dzielnicy nowej, zabudowanej wzdłuż asfaltowego bulwaru pensjonatami i hotelami, ukrytymi wśród rozłożystych palm, drzew pomarańczowych, mirtów, cyprysów i pinij i pełnej usłużnych kelnerów, lekkich dziewcząt i czyścibutów. Obie dzielnice rozciągały się na stoku wapiennego, porosłego z rzadka agawami i cyprysami wzgórza, na którego szczycie bielały groźne forty wojenne Ilirii z epoki Napo-

leońskiej, poniżej zaś szarzały okrągłe kopuły osadzonych na murach miasta bunkrów niemieckich z epoki Hitlerowskiej Kroacji.

Ponieważ do obiadu było jeszcze trochę czasu, szliśmy noga za nogą i po drodze zatrzymywaliśmy się przy sklepach złotniczych, pełnych subtelnych wyrobów ludowych z dętego srebra, albo też oglądaliśmy się smakowicie za rosłymi dziewczętami w czarnych sukniach do kostek, z żółtą frędzlą na biuście, które, kołysząc się jak łodzie, spacerowały po jezdni, dumnie zajęte tylko sobą. Były to kobiety z okolicznych wsi, najpiękniejsze kobiety Południa, produkt współżycia chłopek z turystami błękitnej krwi. Tak przynajmniej zapewniał nas miejscowy przewodnik, przydzielony nam przez zarząd miejski. Trzeba przyznać, że w długiej i urozmaiconej naszej podróży po sześciu republikach nigdzie nie zdarzyło się nam widzieć tak pięknych dziewcząt; prawda, że niektóre z nich były lekko zeszpecone syfilisem.

Wreszcie dobrnęliśmy do kamiennej ławki i usiedliśmy na rozgrzanym piaskowcu, podziwiając otwarte morze, seledynowe i szmaragdowe, nieco srebrne od wiatru i łamiące się z trzaskiem o skały u naszych nóg. Za naszymi plecami zadzwonił wśród palm śmiesznie kolorowy, miniaturowy tramwaj i zaczął drapać się pod górę, na sąsiedniej ławce siedziała w letniej, kwiecistej sukience opalona kobieta i trzymała między kolanami dziecko bawiące się naszyjnikiem z czerwonych korali, które zwisały z jej szyi, od morza szły prawie parne, pachnące wodorostami powiewy, na czystym niebie krążyły mewy i opadały na falę. Było ciepło i cicho, dobry czas dla dojrzewania pomarańcz.

— Nie piszą o nas w gazecie? — zapytał Członek Delegacji. W Lubljanie poświęcili nam cały artykuł.

— Chodźmyż już na obiad, znowu spóźnimy się — powiedział inny Członek Delegacji.

— Przestań pan o tym jedzeniu — rzekł

poprzedni. Odwrócił się na dzwonek tramwaju, który zjeżdżał z góry. Powiedział: — Prymityw jak u celnika Rousseau.

Zacząłem przeglądać gazetę, rzucając okiem na tytuły skromniejszych artykulików i wzmianek. Niestety, na pierwszych stronach pisma o delegacji nie było ani słowa. Na piątej stronie gazety — była to *Borba*, 11. 11. 47 — zauważyłem trzy reprodukcje zdjęć z jakiegoś czasopisma angielskiego, które mnie na chwilę zajęły. Pierwsza przedstawiała nagie, kamieniste pole. Na polu, twarzą w twarz do szeregu żołnierzy w angielskich mundurach, spoczywających z bronią u nogi bokiem do widza, tak że aparat obejmował wyraźnie tylko białe mankiety i pas pierwszego żołnierza oraz wielką torbę z amunicją do *tommyguna*, zawieszoną na jego piersiach — stał szereg ludzi, wśród których wyróżniłem sylwetkę kobiety i mężczyznę w pasiastych spodniach.

Druga fotografia pokazywała „detal" z pierwszej, mężczyznę i kobietę. Mężczyz-

na był bardzo smukły, całkiem młody, prawie o głowę wyższy od kobiety. Miał na sobie pyjamę, na którą wdział marynarkę. Kołnierzyk pyjamy był rozpięty, jak u sportowej koszuli. Mężczyzna był nieco łysawy, miał baczki i przystrzyżone wąsy. Stał wyprostowany, lewą dłoń zwarł mocno w pięść, można było się domyślać, że ma wąskie, zaciśnięte usta i ściągnięte brwi. Dziewczyna ubrana była w kloszowe palto i miała na głowie zawój (barwny, o ile można było sądzić ze zdjęcia), opinający jej bujne włosy, modnie spiętrzone nad czołem. Głowę nieco pochyliła na ramię, na odsłoniętej szyi czerniał maleńki krzyżyk, a może tylko kropka drukarskiej farby. Dziewczyna opierała się na lewej nodze, prawa była lekko zgięta w kolanie, jak u człowieka zmęczonego długim staniem. Usta jej były ściągnięte w nieznaczny ciup, jakby od zimna. Prawa ręka mężczyzny i lewa ręka dziewczyny odchylały się bezwładnie od ciała, ponieważ były ze sobą związane. Dziewczyna miała dwadzieścia pięć lat i nazywała się Jeftimija

Paza, mężczyzna nazwiskiem Vaskekis był nauczycielem w szkółce i nie zdążył włożyć na siebie ubrania.

Trzecia fotografia pokazywała rozkraczonego żołnierza w mundurze angielskim, schylającego się nad zwłokami ludzi. Pod zdjęciami był podpis, który wyjaśniał, że to greckie wojska faszystowskie rozstrzeliwują podejrzanych, a żołnierz na trzecim zdjęciu przewraca, po egzekucji, obcasem ciała skazańców i dobija tych, którzy się jeszcze ruszają.

— Nie, nie ma nic o nas — powiedziałem przejrzawszy gazetę do końca. — Tyle że kończę dziś dwadzieścia pięć lat. Wynika z daty. Gazeta o dzień spóźniona.

— To rzeczywiście ciekawe — rzekł ironicznie Członek Delegacji.

— Chodźmyż już na ten obiad — rzekł inny Członek Delegacji ogryzając nerwowo rude wąsiki, które, nie strzyżone od miesiąca, opadały na górną wargę.

Wstaliśmy i poszliśmy raźno do hotelu,

gdzie nam podano: *hors-d'oeuvres variés* i *caviar de Cladave* do wyboru, *crème de volaille, dindonneau rôti, charlotte russe* oraz — *dingač* i „turską kafę".

MIESZCZAŃSKI WIECZÓR

WP. Stanisławowi Dygatowi

Moją pasją są książki, zapachy i myśli, czyli nieco infantylne marzenia przedsenne o zabarwieniu erotycznym. Kiedy wieczorem otwieram na oścież oba okna, aby wpuścić do pokoju mdlącą mnie woń rozkwitłych lip, które rosną po drugiej stronie ulicy, i nie gasząc nocnej lampki kładę się do łóżka — a raczej na tapczan — na chrzęszczące i wykrochmalone prześcieradło, wtedy podsuwam pod głowę dłonie, przymykam oczy i obserwując przez cienkie, zmrużone powieki szeleszczący lot ćmy, poczynam oddawać się myślom. Przeżyłem wprawdzie niejedno podczas ubiegłej wojny i z niejaką dumą opowiadam znajomym, że widziałem pewnego dnia dwadzieścia osiem tysięcy nagich kobiet, a w ciągu roku grubo ponad milion ludzi różnej płci

i wieku — idących do gazu, a czasami nawet sugeruję w zapale, iż obrazy tych zbiegowisk ludzkich natrętnie mnie prześladują, że np. słyszę jeszcze we wspomnieniu krzyk ludzki, pisk dzieci i tchórzliwe, usłużne milczenie mężczyzn i że niekiedy czuję jakby naprawdę dokuczliwy zapach gnijącej krwi kobiecej zmieszanej z potem, oraz mokrą, tłustą woń palących się ludzi, a jednak muszę stwierdzić, że w samotnym rozmyślaniu, zwłaszcza przedsennym, nigdy do tego materiału nie mam zwyczaju sięgać. Zwykle bywa tak, że, znużony wpatrywaniem się w trzepotliwy cień ćmy tańczącej na szarym suficie, zamykam szczelnie oczy i wtedy pod powiekami od razu pojawiają się różnokolorowe, kalejdoskopowe figury geometryczne, prostokąty, nieregularne wieloboki, koła i plamy świetlne, a także linie, prążki, kłujące punkciki, ruchome pęki prostych, które unoszą się ku górze powiek, zmniejszają się lub rosną, zmieniają barwę i kształt, łączą się, przenikają, dzielą się i rozchodzą, wreszcie uciekają w tył głowy,

a na ich miejsce z dołu powiek napływają nowe plamy i linie. Przyznać się zresztą muszę, że interesuję się nimi tylko mimochodem, gdyż stanowią one pomost do moich właściwych myśli.

Myślę mianowicie o kobietach. O kobietach prawdziwych i urojonych, z którymi — rzecz oczywista — doznaję niesłychanych emocji, przygód i rozkoszy. Podczas wojny, kiedy byłem o wiele młodszy, myślałem o dziewczętach w moim wieku, które wydawały mi się przedziwnie piękne i doskonałe. Nie pojmowałem wówczas, jak brzydkie są ostre kolana, chude nogi, wąskie, kanciaste biodra i spiczaste piersi. Dopiero dziś rozumiem, że pewna moja rówieśniczka, z którą przed paru laty poznawałem miłość (i którą jeszcze dziś na sposób sentymentalny wspominam), wprawdzie chętna i oddana, była jednak chropowata i twarda jak dębowa kora.

Obecnie, przemógłszy onieśmielenie pierwszej młodości, sięgam wieczorami myślą po kobiety dojrzałe, doświadczone i śmiałe.

Przestałem lubić w marzeniach dziewczęta, które musiałbym wtajemniczać w miłość. Wynika to w znacznej mierze zapewne stąd, że w rzeczywistości jestem bojaźliwy i skrajnie nieporadny i zawsze narażam się na kłopoty.

Myliłby się jednakże, kto by przypuszczał, że w myślach swoich zmierzam prostą drogą do obrazu kulminacyjnego. Wręcz przeciwnie: obudowuję go całym opowiadaniem, splątaną intrygą, czasami zaczerpniętą z fragmentów przeczytanych książek, których szeregi przestawiam co pewien czas na półkach. Tworzę zamknięte, ale ledwo naszkicowane historie i tylko poszczególne obrazy przemyśliwam dokładniej. Przejścia między obrazami dopowiadam sobie jednym szkicem, nieledwie zamiarem myśli. Pośpiesznie rysuję charaktery, ustalam konflikty, nadaję sobie — stosownie do okoliczności — cechy zbrodnicze albo szlachetne, wyposażam swe ciało w konieczne dla kompozycji obrazu walory lub niedomogi, w paru filmowych skrótach

zaznaczam teren akcji, dla szybkości budując ją z widzianych za dnia elementów, z przypomnianych wnętrz, przedmiotów, postaci i wydarzeń, ale choć ciągnę opowiadanie niecierpliwie, jakbym odwracał kartki pasjonującej książki, nigdy nie mogę zdążyć na czas.

Wprawdzie uszy mam zasłonięte dłońmi, ale jednak słyszę wyraźnie, że szmer w łazience ustaje. Następnie trzaskają drzwi jedne i drugie, słychać szelest miękkich pantofli o posadzkę, szum jedwabnej pyjamy. Kiedy zaś gaśnie lampka nocna, unosi się kołdra i sprężyny tapczana chrzęszczą, otwieram w ciemności oczy i, trochę jeszcze niezadowolony, że mi przerwano myśli w momencie akcji nieomal że kulminacyjnym, odwracam się energicznie i biorę w ramiona swoją młodą żonę.

O D W I E D Z I N Y

Szedłem nocą, piąty w szeregu. Brązowy płomień palonych ludzi chwiał się w środku fioletowego nieba.

W tej łagodnej ciemności miałem oczy szeroko otwarte i chociaż krew z przebitego bagnetem uda obejmowała mi ciało ciepłem, które przy każdym kroku potęgowało się aż do bólu, a z tyłu przez gęsty, skwapliwy tupot męskich nóg wyczuwałem drobny, lękliwy krok kobiet (wśród nich szła również dziewczyna, która kiedyś należała do mnie) — to jednak nie potrafię powtórzyć z tej nocy nic prócz tego, co widziałem, szeroko otwierając oczy.

Widziałem więc w tę noc, jak półnagi, parujący potem człowiek, wypadłszy na żwir rampy obozowej z bydlęcego wagonu, w którym nie było już powietrza, zachłysnął się

głęboko rześkim, chłodnym mrokiem, zatoczył się ku innemu człowiekowi i, objąwszy go kurczowo ramieniem, począł wmawiać w niego nieprzytomnie: bracie, bracie...

Jeszcze inny człowiek (w walce o powietrze przyduszono go w wagonie, przy szparze), leżąc w szopie na kupie dymiących ciał, kopnął nagle z całej siły schylonego nad nim złodzieja, który ściągał mu z nogi niepotrzebny już przecież umarłemu — prawie nieużywany, chromowy oficerski but.

Przez wiele dni potem widziałem, jak mężczyźni płakali nad kilofem, łopatą i przy lorze. Jak dźwigali szyny, worki z cementem, betonowe słupy na ogrodzenie, jak równali pieczołowicie ziemię, głaskali szuflami ściany rowów, wznosili baraki, wieże strażnicze i krematoria. Jak zżerały ich świerzb, flegmona, tyfus i głód. Widziałem innych, którzy kolekcjonowali brylanty, zegarki oraz złoto i skrzętnie chowali je w ziemi. Jeszcze inni ze snobizmu starali się za-

bić jak najwięcej ludzi i posiąść możliwie wiele kobiet.

Aha, widziałem także kobiety, które nosiły belki, pchały wozy i taczki oraz budowały tamy przy stawach. Także takie, które oddawały się za kawałek chleba. Takie, które stać było na kupno kochanka — za jedwabne koszule, za złoto i za biżuterię zrabowaną ludziom umarłym. Widziałem także dziewczynę (która kiedyś należała do mnie) pokrytą wrzodami i łysą, ale to już jest moja prywatna sprawa.

Ci wszyscy zaś, którzy z powodu flegmon, świerzbu i tyfusu, a także dlatego, że byli zbyt chudzi, szli do komory gazowej, prosili pielęgniarzy (ładujących ich na krematoryjne auta), aby patrzyli i pamiętali. I aby powiedzieli prawdę o człowieku — tym, którzy jej nie zaznali.

Właśnie spoglądam przez oplecione dzikim winem okno, za którym jest wypalony aż po niebo dom, dalej zwalisko klasycznej bramy z ocalałą amforą na kolumnie, banalne, pachnące i kwitnące drzewo lipowe

oraz niebo zbiegające chmurami ku widnokręgowi ruin po drugiej stronie migotliwej rzeki.

Siedzę w cudzym pokoju wśród nie swoich książek i pisząc, że widziałem niebo, mężczyzn i kobiety, myślę uporczywie, iż tylko siebie nie mogłem zobaczyć. Pewien młody symboliczno-realistyczny poeta opowiada o mnie z kostycznym lekceważeniem, że mam obozowy kompleks.

Za chwilę odłożę pióro i tęskniąc do ludzi, których wtedy widziałem, będę się zastanawiał, dokąd dziś pójść w odwiedziny: czy do przyduszonego człowieka w oficerkach, obecnie inżyniera elektrowni miejskiej, czy też do właściciela doskonale prosperującego baru, który kiedyś szeptał mi: bracie, bracie...

Innych odwiedzają ci, którzy grzebiąc w zmieszanych z ziemią, przegniłych ludzkich popiołach, pilnie szukają w nich zagubionego złota.

SPIS RZECZY: